# NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Redaktor naczelny TADEUSZ SWIĘCICKI

**Prenumerata w Polsce:**
miesięczna 2 zł. 75 gr.
kwartalna . 7 „ 50 „
półroczna . 15 „ — „
roczna . . 28 „ — „
Numer pojedyńczy 75 gr.

**W Ameryce:**
półroczna . 6 dolarów
roczna . . . 12 „
Naczelny redaktor przyjmuje codziennie od g. 10—12 przedpoł. Rękopisy i fotografje redakcja zwraca tylko na żądanie.

Konto P. K. O. Warszawa Nr. 140.260
Konto P. K. O. Kraków Nr. 400.519
Konto w Banku Związku Sp. Zarob. Oddział Kraków

**Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.**

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Rok XXI. Kraków, 23 sierpnia 1924. Nr. 34.

# Gdzie są Niemcy prawdziwe?



W Londynie — kanclerz Marx, ministrowie Luther i Streseman zawierali ugodę, a w Niemczech, w Weimarze obradował jednocześnie wielki kongres „narodowych socjalistów". Prezes Hitlerowców dr Dinter (x) i słynny gen. Ludendorff (xx) przywódcy nacjonalizmu, militaryzmu i wojny odwetowej byli przedmiotem olbrzymich owacji. Gdzież jest prawdziwy duch Niemiec? — Po stronie delegacji londyńskiej czy za Ludendorffem?

## Drugi ogólno-państwowy zjazd strażactwa w Warszawie.

Po długich latach niewoli, szykan rządów zaborczych i bezlitosnego tłumienia wszelkich spontanicznych przejawów życia polskiego społeczeństwa, strażactwo polskie, jak i wiele innych humanitarnych instytucji, odżyło i podjęło wytężoną organizacyjną pracę, która dziś dała nadspodziewanie świetne wyniki.

W połowie sierpnia, odbył się w Warszawie drugi ogólno państwowy zjazd strażactwa polskiego przy udziale przedstawicieli władz, wojskowości oraz licznych delegacji obcokrajowych.

O godz. 8-ej z rana szereg drużyn zgromadził się naprzeciwko dworca głównego, gdzie odbył się przegląd i odebranie raportu. Następnie ruszył z przed dworca w stronę katedry pochód, za którym zdążały tłumy publiczności, manifestującej swe uczucia dla dziarskich za stępów.

Po uroczystej mszy św., strażacy stanęli na placu przed katedrą w zwartym ordynku i zaczęła się uroczystość odebrania przysięgi i wręczeniu sztandaru chorążemu, p. Cisowskiemu.

Dalsza część uroczystości odbyła się w westibulu politechniki, gdzie p. prezes Chomicz o godz. 1.15 otworzył wśród uroczystej ciszy II. zjazd w podniosłem przemówieniu. Przemawiali nas ępnie: przedstawiciele rządu, wojskowości oraz delegaci: Francji, Czechosłowacji, Belgji, Jugosławji, Łotwy i delegat słoweńskiego związku strażaków, oraz reprezentanci stowarzyszeń społecznych i kulturalnych



Bolesław Chomicz. Prezes Zjednoczonego Strażactwa Polskiego, komandor krzyża „Polonia Restituta“, — odznaczony na Zjeździe przez delegata Francji mjr. Lerendeau najwyższą odznaką honorową strażactwa francuskiego.

Po honorowej defiladzie zaczął się popis poszczególnych oddziałów strażackich, pokazy gazowe, ćwiczenia wolne z toporkami i t. d.

Po skończonej uroczystości tłumy uczestników i sympatyków zjazdu rozeszły się, zachowując niezatarte, podniosłe wrażenie.

Nie potrzebujemy chyba przypominać tych olbrzymich humanitarnych zasług, jakie strażactwo położyło w wielkiem dziele odrodzenia Polski. Przyjrzawszy się bliżej niesłychanie sprężystej organizacji i świetnemu wyćwiczeniu strażaków, dojdziemy do przekonania, że „Związek“, to dziś potęga! Prócz działalności, ściśle z zadaniami strażactwa związanej, rozwijają poszczególne okręgi szeroką działalność humanitarną na polu ratownictwa, zbliżając się do „Czerwonego Krzyża“, z którym pozostają zawsze w ścisłym kontakcie. Po za tem duch członków organizacji nacechowany jest wielkim patrjotyzmem i ofiarnością.

* * *

Rozjeżdżającym się uczestnikom zjazdu zasyłamy najserdeczniejsze życzenia jeszcze piękniejszych wyników ich pracy, a całemu strażactwu — wyrazy podziwu i uznania. *P. P.*



Święto żołnierza 15 sierpnia: ks. biskup Gall błogosławi wojsku.

## Lekcja, która już się nie powtórzy.

Sierpień... Rocznica „Cudu nad Wisłą“... Zaledwie czwarta... Więc niedawno...

A przecież ten wielki, pamiętny, bohaterski dzień stał się już dla nas jakimś dalekim, pomnikowym mytem, oddalił się już od nas na koturnową odległość, skąd widzi go się w całym przepychu jego historycznej roli, ale skąd woli się klękać przed nim w niemym hołdzie i błogosławieniu, niż podchodzić doń zbliska z krawczą calówką trzeźwego analityka dziejów.

Oddalił się od nas znacznie ten pamiętny a niedawny dzień, bo koło historji obraca się jakby szybciej wśród wielkich przemian, pod których znakiem żyjemy, bo wciąż nowe jutro „wali się ku nam czarną ścianą czasu“, czasu, kryjącego w sobie wciąż nowe problemy, zaprzątającego sobą wciąż uwagę, wciąż nowych żądającego wysiłków, czasu, który znać nie chce chwili na wytchnienie i opamiętanie.

A przecież warto, a przecież trzeba bodaj przez jeden dzień w roku, bodaj w rocznicowe święto wskrzesić w sobie tak szczegółowo, dokładnie bez żadnych retuszy, wizję tych krótkich, wiekopomnych godzin, które przerwały obręcz śmierci zaciskającą się już wokół szyji Polski i tych długich, bolesnych i okrutnych dni, przez które szamotaliśmy się w trwodze o byt niedawno zmartwychwstałej Ojczyzny. Trzeba przysunąć ku sobie bliziutko na taśmie w pomnień te chwile, przeżyć raz jeszcze we wszystkich ich dreszczach na nowo i dokładnie się nad niemi zadumać...



Posążek S-go Florjana w bronzie, dar ofiarowany przez Strażactwo polskie prezydentowi Wojciechowskiemu w Belwederze.

I zobaczymy wtedy, że z fałdów posągowych draperji, w które patos historji otulił ów „Cud nad Wisłą“, wychyli ku nam swe groźne i przestrzegające oblicze proza dziejów, przemawiająca do nas twardym ale pouczającym językiem.

Cóż powie nam ona? Każe nam wspomnie





Zjazd Zjednoczonego Strażactwa polskiego w Warszawie:
1) Delegacja. Rada Naczelna Zw. Straży pożarnych oraz goście z Francji, Rumunji i Czechosłowacji u prezydenta Wojciechowskiego w Belwederze. W środku prezydent Rzpltej. 2) Prezydjum Zjazdu (od lewej do prawej). Sekretarz Milewski, Nadolski, Wilnowski, przewodniczący inż. Arczyński, oraz Grześ (z Król. Huty), Krajewski. Przemawia prezes związku p. Chomicz.



Wywczasy p. Macdonalda po trudach konferencji londyńskiej. P. Macdonald po zakończeniu konferencji nie tyle spoczął na laurach, ile zmuszony wyczerpaniem usunął się na dni kilka do Chequers, gdzie w ciszy parku zamkowego wraz z kilku kolegami próbował oderwać myśl od męczących spraw politycznych. Na terasie zamku w Chequers widzimy p. Macdonalda z córką miss Isabellą, oraz ministrów I. H. Chynesa i Sidneya Webla (po prawej) i I. H. Thomasa (po lewej stronie premiera).
(Atlantic - Photo.)



Wysoki komisarz angielski — jako autor sceniczny Lord Kilmarnock autor farsy, granej z olbrzymim powodzeniem w ostatnim sezonie w Londynie.

mem. Aż wreszcie przyszedł ów hańbiący pochód we włosiennicy do Spaa...

Prawda, że ocknęliśmy się, że okupiliśmy winy bohaterskim wysiłkiem entuzjazmu, poświęcenia, ofiarności, zaparcia się siebie, że te chwile, gdy żołnierz polski krwawił na wschodnim froncie, znacząc granice Polski ostrzem swych bagnetów, a myśmy byli od niego daleko, daleko, znacznie dalej psychicznie niż przestrzeń, która nas od rowów strzeleckich dzieliła. Prowadziliśmy wojnę, aleśmy jej jakby nie czuli. Zdawało nam się, że to wojenna zabawka z bandą bosych, głodnych, nażartych, ale tchórzliwych i śmiesznych naganiaczy pędzonych pod knutem. Rzucaliśmy okiem na komunikaty i z lekkim a beztroskim sercem szliśmy do codziennych zajęć.

Żołnierz polski krwawił, a myśmy byli od niego daleko, daleko... Czasem stroiliśmy domy swe w przepych chorągwi naprzykład gdy żołnierz polski wyszczerbił swój bagnet o kijowskie bramy. Myśleliśmy, że tak być musiało... i z lekkiem sercem szliśmy do codziennych zajęć...

Aż potem nagle odwrót...

I jeszcze wtedy lekki ruch ramion i beztroski uśmiech: „To chwilowe, wrócą!“. Ale nie wrócili... A nam nagle otwarły się oczy. I nad głowami ujrzeliśmy pokłębione i straszliwe chmury. I dowiedzieliśmy się ze zgrozą, że żołnierz polski jest zmęczony, boć nie krzepiliśmy go żadną otuchą, boć byliśmy od niego tak strasznie daleko, że jest źle uzbrojony, że nie opływa w dostatki, że tam na froncie nie jest tak przyjemnie jak nam się zdala zdawało.

A potem codzień w nas walił grom za gro-



Ku współpracy kulturalnej narodów. Posiedzenie Komisji Ligi Narodów dla wzmocnienia i rozwoju współpracy intelektualnej i kulturalnej narodów świata odbyła ostatnio w Genewie plenarne posiedzenie. Przewodniczył Komisji słynny uczony francuski prof. Henryk Bergson, Polskę reprezentowała p. Curie Skłodowska, Niemcy niemniej słynny dziś prof Einstein, Anglję prof. Gilbert Murray, Holandję prof. Lorenz.



Pałac sułtański — kasynem: Opustoszały pałac po sułtanie prefekt Konstantynopola chce wydzierżawić jako lokal na wystawne kasyno za sumę 250 000 funtów szterlingów rocznie.

wskrzesiliśmy w sobie olbrzymią moc ducha, że zdobyliśmy się na hekatombę armji ochotniczej i że dlatego w chwale mogliśmy obchodzić wielką, niezapomnianą „Cudu nad Wisłą“ godzinę.

Ale niemniej prawdą jest, że — strach powiedzieć — staliśmy o krok od trumny Ojczyzny, Ojczyzny, którą nam los wskrzesił i oddał we władanie, i że blizkim był dzień, za który nas mogły przyszłe pokolenia przeklinać, iż nie byliśmy zdolni sprostać swej misji dziejowej utrzymania Zmartwychwstałej przy życiu. I prawdą jest, że nie byliśmy tutaj bez winy.

Z tej lekcji, której nam udzieliła historja, lekcji bolesnej ale wartościowej trzeba nam się nieustannie uczyć. Zespolić się bardziej z losami Ojczyzny, ułożść się z każdem tchnieniem jej życia, wejść jak krew we wszystkie arterje jej państwowych i społecznych komórek. Zresztą — sapienti sat...

O jednem tylko zapomnieć nie wolno. Historja jest mistrzynią życia. Ale biada temu, kto nie korzysta z jej nauk. Dwa razy swych lekcji nie lubi ona powtarzać. *Krz. B.*

# Pod gwiazdą Esperanta.





1) Poseł i minister pełnomocny Rzplitej Polskiej Z. W Lasocki wita kongres esperantystów imieniem rządu polskiego przemawiając po polsku i po esperancku. Po prawej stronie fotografji prof. Odo Bujwid. 2) Minister oświaty „Rzeczypospolitej Środka" czyli Chin, p. Tsai, który przybył na kongres umyślnie z Pekinu, ze swym sekretarzem.

(*Własna korespondencja*)

Wiedeń, 17. VIII 1924.

Wiedeń staje się coraz więcej miastem Kongresów. I rzeczywiście położenie w centrum Europy, nadzwyczaj dogodne połączenia kolejowe, wygodne i monumentalne budynki mogące pomieścić większą ilość uczestników a także znana gościnność mieszkańców dają pełną rękojmię zupełnego zadowolenia dla uczestników.

Od 7 do 14 bm. odbył się tu w domu koncertowym XVI Międzynarodowy Kongres Esperantystów, w którym brało udział przeszło 4 300 uczestników i delegatów 43 narodowości Z wybitnych osobistości m. i: Dr *Tsai*, b. minister oświaty i rektor uniwersytetu w Pekinie. *Dr. Fujisana* szef sekcji w Ministerstwie Spr. Zagr. w Tokio, generał *Sébert* (Paryż), członek Akademji Umiejętności, prof. uniw *Dr. Cart* (Paryż), *Merchant* (Sheffield) prezes Izby Handlowej, dalej delegaci prezydjum Ligi Narodów, VIII Wszechświatowego Kongresu Pocztowego (Sztokholm), Międzynarodowego Biura Pracy Czerwonego Krzyża, jakoteż delegaci poszczególnych narodów.

Poraz pierwszy przemawiał podczas uroczystego otwarcia Kongresu delegat Rządu Polskiego *Dr. Zygmunt Lasocki*, poseł nadzwyczajny i pełnomocny minister we Wiedniu i to nawet po esperancku.

Jest to dowodem, że i Rząd Polski nareszcie zrozumiał ważność ruchu esperanckiego, którego kolebką przecież jest nasza ojczyzna.

Większą część czasu poświęcono pracom organizacyjnym ruchu esperanckiego, jak i projektom (np. stworzenie letniego uniwersytetu w Szwajcarji z językiem wykładowym Esperanto).



Wybitny publicysta szwajcarski p. Edmund Privat, który w roku 1917 bawiąc w Polsce odegrał pewną rolę przy tworzeniu Rady Regencyjnej — przemawia na zjeździe.

Podczas zjazdu obradowały również różne sekcje: robotnicy, nauczyciele, lekarze, studenci, pacyfiści itd.

Przewodniczącym katolików esperantystów był jego Eminencja Kardynał Piffl (Wiedeń). Dla zadokumentowania także potrzeby języka międzynarodowego w dziedzinie radiotelefonji przemawiali z tut. stacji radiotelefonicznej delegaci różnych narodowości, rzucając na początku mowy kilka zdań w języku ojczystym Jako delegat Polski przemawiał p. I. Grenkamp Kornfeld.

Podczas całego czasu obrad Kongresu „Bürgertheater" dawał przedstawienia w języku esperanckim, podobnie międzynarodowy kabaret otworzył swe podwoje dla wielojęzycznej rzeszy Dzięki paszportom ulgowym, które przyznano polskim esperantystom i Polska była należycie reprezentowana, przez czterdziestu delegatów z prof Bujwidem na czele

Podkreślić również należy, że Dr. Edmund Privat, znany bojownik o niepodległość Polski, autor dzieła w języku francuskim „Serce Europy — Polska", podczas swego przemówienia przy otwarciu Kongresu dwa razy cytował naszych wieszczów Słowackiego i Mickiewicza, jako tych, którzy jedni z pierwszych zrozumieli ideę zbratania się ludzkości *Esp.*

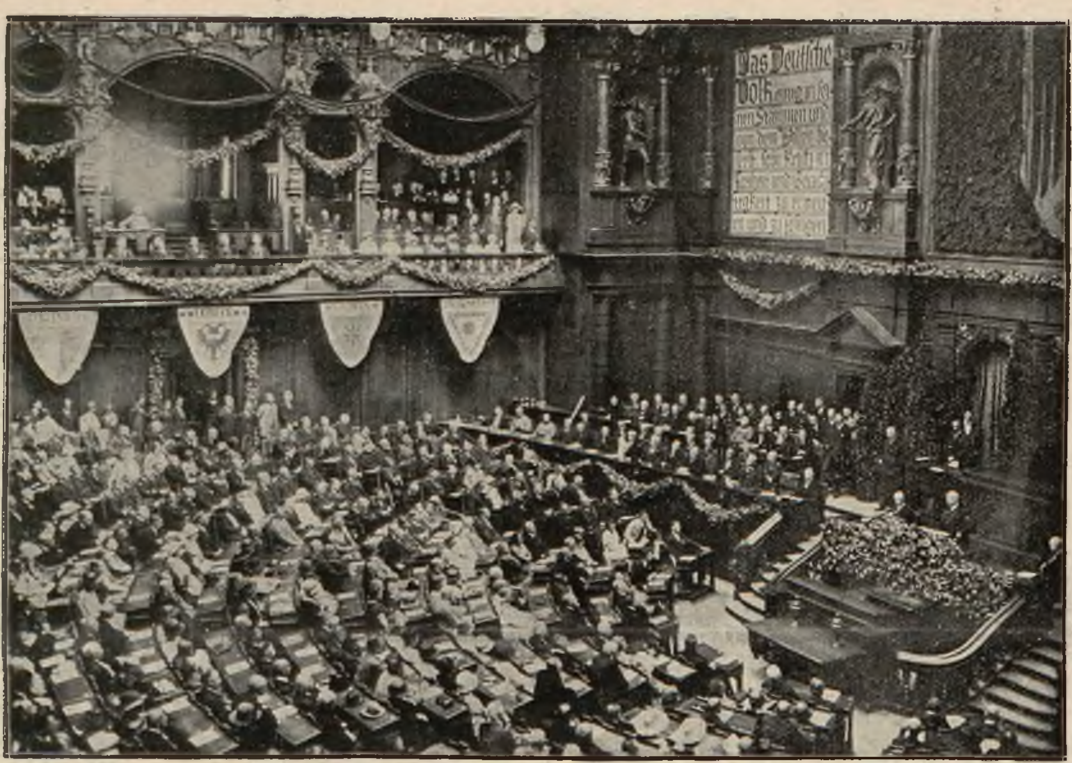
---



**Najnowsza sensacja Wiednia.** Będą nią wyścigi strusi specjalnie z Włoch sprowadzonych, które wzięli już w swe obroty trenerzy. Uczestnikom Międzynarodowego Kongresu Esperantystów zademonstrowano próbny wyścig egzotycznych ptaków, niewiadomo zresztą czy bardzo spragnionych tych sportowych sukcesów.



**Z ciekawostek wiedeńskich** Różnojęzyczni uczestnicy kongresu Esperanckiego zwiedzali z zachwytem słynny „Tiergarten" wiedeński Każdy znalazł coś przypominającego kraj rodzinny Egipcjanie nawet znaleźli tam swe czczone ibisy.





**Rocznica Konstytucji Niemieckiej:**

1) W gmachu parlamentu odbyło się uroczyste posiedzenie, mające charakter demonstracji republikańskiej. Przemówienie wygłosił burmistrz Hamburga a w loży zasiadał wśród gości obcych prezydent Rzeszy Ebert.

2) Prezydent Ebert wygłasza w rocznicę uchwalenia w Wejnarze konstytucji republikańskiej Niemiec przemówienie do zgromadzonych tłumów. „Atlantic.

# W Londynie i w Berlinie.

Konferencja londyńska skończona. P. Herriot wrócił do Paryża, p. Macdonald w gronie kolegów z gabinetu swego a swych przyjaciół osobistych wypoczywa po pokonaniu najprzeróżniejszych trudności i po dokonaniu dzieła, które w całym świecie uchodzi dziś za jeden z najważniejszych etapów rozwoju życia politycznego i gospodarczego Europy powojennej, a delegaci niemieccy powrócili z układem londyńskim do Berlina. Zdałoby się, że aprobata i zatwierdzenie tego układu przez Niemców, którzy uzyskali w Londynie więcej ustępstw niż mogli tego oczekiwać w najśmielszych nadziejach, — nie powinny budzić żadnych wątpliwości. A jednak.. a jednak p. dr. Stresemann minister spraw zagranicznych Rzeszy oraz dwaj politycy o nazwiskach wielkich: p. dr. Marx — kanclerz Rzeszy i dr. Luter minister gospodarki zastrzegali się w Londynie, że zatwierdzenie układu przez Niemcy może ulec pewnej zwłoce, jeśli parlament obecny nie zgodzi się na to. Przeprowadzić musieliby bowiem wtedy rozwiązanie parlamentu i nowe wybory.

Już te zapowiedzi niemieckie są niezbyt pomyślną wróżbą dla przyszłych losów układu. Układ ten bowiem, mający u swej podstawy założenia podobne do idei Wilsonowskich i do ideologji Ligi Narodów, usiłuje stosunki Europejskie ująć w normalne, prawno-procesowe normy rozjemstwa między narodami. Widać to szczególniej na sprawie sankcji, których stosowanie wobec Niemiec przewiduje traktat wersalski. Jeżeli bowiem porównamy zajęcie Ruhry przez Francję, które miało, wbrew agitacji niemieckiej całkiem jasne podstawy prawne, jednak w swym wykonaniu było raczej środkiem wojennym, niż pokojowym, — jeśli ten fakt porównamy z postanowieniem układu londyńskiego, — to stwierdzić należy, że jego tendencje pacyfistyczne i rozjemcze, pojednawcze zostały mocno i wyraźnie postawione.

Ale do każdego porozumienia i pojednania, do każdej ugody, potrzebnych jest dwuch — jak mówi przysłowie. Dobre chęci i dobra wiara z jednej strony nie wystarczą. Francja poczyniła teraz maximum ustępstw ze swej strony — i tym uratowała sytuację, doprowadziła do powstania układu.



Znakomity pisarz francuski, autor „Ognia" Henri Barbusse, miał wygłosić w Rostochu w Niemczech odczyt przeciw wojnie i za pojednaniem narodów. Rząd Niemiecki zakazał odczytu w Niemczech.

Do wprowadzenia jednak układu w życie potrzebna jest jednak niezbędnie i pojednawczość oraz dobra wiara ze strony Niemiec. Inaczej — układ stanie się nierealnym, bezprzedmiotowym a może nawet rozdrażniającym i rozogniającym stosunki europejskie.

Czy tej pojednawczości i dobrej wiary Niemiec może się świat spodziewać?

Twórcy układu londyńskiego wierzą w nią. My, Polacy jeszcze zbyt dobrze pamiętamy co to jest „fides teutonica" i „fetzenpapiery" ażebyśmy mogli być optymistami.

A wieści z Niemiec tem mniej tego optymizmu budzą. Bo nawet wiedy gdy widzimy na ilustracjach i fotografjach z Berlina sceny z uroczystości na cześć nowej niemieckiej konstytucji, sceny z uroczystości, na których przemawia sam prezydent Ebert, socjalista, rymarz z zawodu, i które mają udowadniać siłę ducha republikańskiego nowych Niemiec — to jednak rzuca nam się w oczy podobieństwo między defiladą organizacji Schutzpolizei berlińskiej, a defiladą organizacji wojskowych i bojówek nacjonalistycznych przed dawnymi bożyszczami militarnych Niemiec — jak Hindenburg i Ludendorf. Inne sztandary i szyldy zewnętrzne, ale ten sam charakter wojskowy i militarny.

I czyżby pod tem wszystkiem nie było już ducha militaryzmu pragnącego odwetu?

Konferencja londyńska twierdzi, że — nie. Chcielibyśmy wierzyć, ale my, Polacy zbyt blisko i dobrze znamy Niemców abyśmy wierzyć w to mogli.





1) Defilada Schutzpolizei przed prezydentem Rzeszy i ministrem gen. Seecktem.

2) Marszałek Hindenburg na uroczystościach ku czci cesarza Fryderyka Barbarossy w Kyffhausen.

W. RAORT.

# WIDOKÓWKI

## (KARTKI Z PODRÓŻY PO POLSCE).

3

Kroczymy uliczkami, zda się, wymarłego Łuniñca i w poszukiwaniu za hotelem zachodzimy na miejscowy... cmentarz. Siadamy wśród piasku i traw, otoczeni lasem krzyżów i poczynamy się zastanawiać nad rzeczami nie mającemi nic wspólnego z naszym bólem głowy i pobytem w Łuniñcu.

Bierze nas na własność miękka, aksamitna cisza, drgająca nad nami pod kopułą lazurowego nieba.

Zdaje się, że zaczęliśmy wspólnie z moim przyjacielem fantazjować na temat, że chętnie zamieszkalibyśmy w tem miasteczku, czarującem przez to, iż jest zapomniane przez Boga i kulturę — że chcielibyśmy tu mieć domek maleñki i przez jego szybki patrzeć na monotonję piaszczystych łach — że kochalibyśmy tych piasków martwotę; tej ziemi ubóstwo i tych domków prostotę, gdzie godziny ludzkiego bytowania wloką się jednostajnie, bezszelestnie i bezbarwnie, jak sznur cichych, czystych zakonnic w białych kornetach... Zdaje się, że wpadliśmy w wir sentymentu, powodującego niebezpieczne objawy poezji lirycznej u tych wszystkich osobników, którzy w czas nie zdołają się otrząsnąć z tego chorobliwego stanu.

Opatrzność była nad nami i dlatego przypomnieliśmy sobie w porę, że jesteśmy głodni, niemyci i śpiący, czyli, że w tej chwili posiadamy wszelkie kwalifikacje na redaktorów naczelnych pism perjodycznych.

Opuszczamy więc cmentarz i wlokąc się wśród spiekoty, wylądowaliśmy szczęśliwie w hotelu pod zawołaniem „Bristol", gdzie otrzymaliśmy pokoik, po uprzedniem zażądaniu u nas „pasportu".

Wyspani i umyci, opuszczamy wieczorem „Bristol" i idziemy na kolację do „Złotego Rogu" (tak się nazywa „pierwszorzędna" restauracja w Łuniñcu). gdyż w „Bristolu" nie ma „table d'hôte'u", a jedyna gruźliczna kość owinięta starą skarpetką, a nazywana przez właściciela „Bristolu" kotletem cielęcym, stanowczo nie mogła wystarczyć dla dwóch zgłodniałych ludzi o wyższych aspiracjach. Idziemy więc pod „Złoty Róg".

Muszę jeszcze zaznaczyć, że owe górnie brzmiące nazwy hotelu i restauracji są to tylko pięknie brzmiące słowa, gdyż w rzeczywistości są to dwie budy sklecone z desek i bierwion sosnowych, pokryte starą blachą zerwaną z dawnych okopów wojskowych. Umyślnie zaznaczam ten fakt, aby moi wierzyciele nie posądzili mnie, że żyję na szerokiej stopie, mieszkając w „Bristolu" i jadając w „Złotym Rogu".

O ile chodzi o ścisłość, to wcale się nie dziwiłem, iż hotel w Łuniñcu nazywa się „Bristol", gdyż jestem już do tego przyzwyczajony, że każdy „Bristol" jest brudny ale dlaczego „Złoty Róg" nazywał się „Złotym Rogiem", tego już ani rusz nie mogłem wymiarkować!... Może dlatego, że w sali restauracyjnej było ciemno jak w rogu i że wszystko szło tam na wagę złota.

Siedliśmy tedy przy stoliku do którego przylepliśmy rękawami i zamówiliśmy kolację.

W „sali" prawie pełno. Przy rozklekotanym klawikordzie siedzi jakiś patrjarchalnie brodaty pan w szerokim kołnierzyku i ciasnych spodniach i gra „Wołga, Wołga" w tonacji „Carmeny", a potem „Carmen" w tonacji „Wołgi".

Przypominam sobie w tej chwili złodziejską Carmen i idjotycznego brygadjera Don Josègo i nucę na złość memu przyjacielowi ów piękny fragment basowy; „On brygadjerem był, lecz w pułku tym nie służy"...

— Nie zaczepiaj się z wojskiem! — zauważył mój przyjaciel. — Po djabła ci się wplątywać w awanturę!...

Natychmiast urywam pieśń, pdyż muszę mimowoli przyznać rację mojemu przyjacielowi.

„Sala" jest prawie wybita przedstawicielami jednego batajonu piechoty stacjonowanego w Łuniñcu. Wracają właśnie wszyscy z festynu, gdzie skakali w workach do mety. Tak przynajmniej zapowiadał afisz festynu, który przeczytałem na dworcu kolejowym, wjeżdżając do Łuniñca.

— Źle jest wszczynać awantury z piechotą normalną — pomyślałem sobie — ale jeszcze gorzej z piechotą rozbawioną skakaniem w workach!...

Robię więc pacyfistyczną minę, ktoby się nie powstydziła Berta Suttner i słucham w skupieniu muzyki.

Przy bocznych stolikach siedzą dygnitarze łunnieccy w urzędowych czapkach z orzełkami i w.. rubaszkach rosyjskich. Mówią naturalnie przeważnie po rosyjsku, jak prawie ogół ludności tego miasteczka. Przed każdym flaszka żytniej Baczewskiego i szklanki piwa, z których ten szlachetny likwor konsumują.

Słychać:

— Zdrawia żełaju Onufryj Pietrowyczu!

— Zdrastwujte Nykołka!

— Uha! Ne mnożko Tadeju, ne mnożko!

— Sasza Hilarowycz udrał! Wot Kokoj chytryj chałast j!...

— Et, durak! Zdrawia!

Panowie w rubaszkach przepijają do siebie, aż miło.

Na nas patrzą wszyscy z podełba, jak na obcych i wyraźnie czytamy w ich oczac: „Czort was tu nadał"!

— Ot, pewnie jakieś „Polaki" z guberrji! — myślą sobie. — Pewno do starosty na rewizję, lub szpiony celne z Warszawy...

Udajemy, że zajęci jesteśmy spożywaniem przysmarzonego linoleum, które nam podano pod nazwą „rozbratel z cebulą" i popijamy piwo piñskie przypominające smakiem ocet siedmiu złodziei z domieszką nieco cykorji i tłuczonej cegły.

Lampa naftowa zawieszona u pułapu tak melancholijnie kopci, iż mimowolnie przypominam sobie lwowskie latarnie gazowe i opędzam się uczuciu potężnej nostalgji za swojem ukochanem miastem.

— Chodźmy! — wołam do mego towarzysza. — Chodźmy!...

— Płacić! — woła mój towarzysz.

— Jej Bohu Polaki! — szemrzą zdumieni goście przy stolikach.

Wobec odkrycia naszego incognita, poczuwa się pan przy klawikordzie do miłego obowiązku zagrania nam czegoś na nutę patrjotyczną i już po chwili płynie pod okopcony sufit, droga naszemu sercu pieśń: „Maruszko, moja Maruszko"!...

Czuję jak łzy wzruszenia napływają mi do oczu, gdy płacimy za kolację cenę, za którą w Warszawie bylibyśmy przez płatniczego zamianowani conajmniej hrabiami i wychodzimy na ulicę.

Na dworze była cudna, granatowa noc.

III.

W pociągu do Wilna.

Sapiąc i rycząc, przedziera się potwór żelazny przez głuche bory, równiny, mokradła i stepy. Przesadza rzeki na grzbietach mostów, ociera się o brzegi milczących jezior, przebija nawskróś czarne masy przetrzebionych lasów, przedostaje się z nich na światło dzienne z okrzykiem zwycięstwa i mknie dalej.

Od czasu do czasu ukazują się oczom domki pokryte szuwarem lub słomą, ogromne stogi torfu i sągi wyciętego drzewa w takiej ilości, że starczyłoby na opał dla całej Polski przez dziesiątki lat.

Na maleñkich stacyjkach kolejowych stoją całe pociągi załadowane drzewem; drzewem założone są rampy i całe kilometrowe przestrzenie obok stacyj, drogi dojazdowe i przydrożne nasypy ciągnące się milami wzdłuż toru kolejowego.

— Mój Boże! — myślę z goryczą. — A tu człowiek nie ma nawet kawałka drzewa na zimę!... Gdzie się to drzewo podziewa?...

Odpowiedź na moje pytanie dają mi postacie, które coraz częściej spotykamy na stacjach załadowczych. Są to postacie nawskróś „nowoczesnych gentlemenów" w priczesach, sztylpach i sportowych, zawadjackich czapkach. Gentelmeni trzaskający szpicrutami o cholewy i mówiący językiem do złudzenia przypominającym język polski; gentelmeni opaleni od słońca, zahartowani w złodziejstwie i zdecydowani na eksport choćby i rodzonej matki, byleby mieli tę pewność, że otrzymają za nią dolary, funty lub franki.

Niby ogromna czereda korników, obsiedli ci ludzie ogromne przestrzenie lasów od Łucka po Piñsk i od Kobrynia po Białystok, Łomżę, Grodno, Baranowicze, Lidę i Wilno...

Całe przestrzenie lasów padają codziennie pod siekierami Polesiuków, Wołyniaków i drwali z pod Białowieży, Nowojelni i Nowogródka, wynajętych za psie pieniądze do wyrębu, przez owych dentelmenów w priczesach, sztylpach i czapkach sportowych. Prastare lasy polskie świecą białemi ranami zrąbanych pni i przetrzebionemi polanami leśnemi na wywóz. — Dzień i noc wywożą...

Wywożą, wywożą i wywożą...

Na każdej stacyjce którą mijamy w przelocie — ten sam obraz: Setki tysięcy sągów drzewa, i zjomordy gentelmenów w priczesach i żywa, intenzywna praca nad wzmożeniem polskiego „eksportu drzewnego".

Pociąg mknie dalej, jakby pragnął wyrwać się z tych miejsc, gdzie uczciwego pasażera pasja bierze, a najbardziej wersalski okrzyk brzmi: „Psia krew!".

Jedziemy. Cały poranek i całe południe już jedziemy. Jakże to długo trwa!... Bez końca równiny następują po równinach, mokradła po mokradłach, lasy po lasach i znowu równiny, mokradła i lasy. Napróżno godziny uciekają i wytęża się stalowa maszyna. Nigdy chyba nie przybędziemy na miejsce!.. Na koła pociągu, jakaś niewidzialna ręką nawija coraz inne stepy, coraz inne bagna i równiny.

— Zdaje się, że teraz będziemy mijali Prypeć — zauważył mój przyjaciel, wpatrując się w nieszczęsną mapę pana Bazewicza.

Tym razem miał mój przyjaciel wyjątkowo rację, gdyż przed sobą mamy most na Prypeci, pomimo tego, że na mapie pana Bazewicza mijaliśmy górną część Dźwiny, tuż obok malowniczo położonego jeziora Ładoga.

Stajemy na stacyjce tej samej nazwy co i rzeka, t. j. Prypeć, gdyż pociąg musi nabrać potrzebnego oddechu do przebycia długiego mostu na rzece.

Poczciwe Polesiuki otaczają nasz pociąg dokoła i proponują nam handel zamienny, ofiarując lekko anemiczne poziomki w króbkach. Otrzymujemy po krótkich targach dziwnie skonstruowane króbki z kory brzozowej, w których leżało ułożonych z niedbałą eleganją kilkadziesiąt poziomek zmęczonych i wybladłych z wycieñczenia. (C. d. n.).

# Wielka rewja sił odrodzeńczych świata.

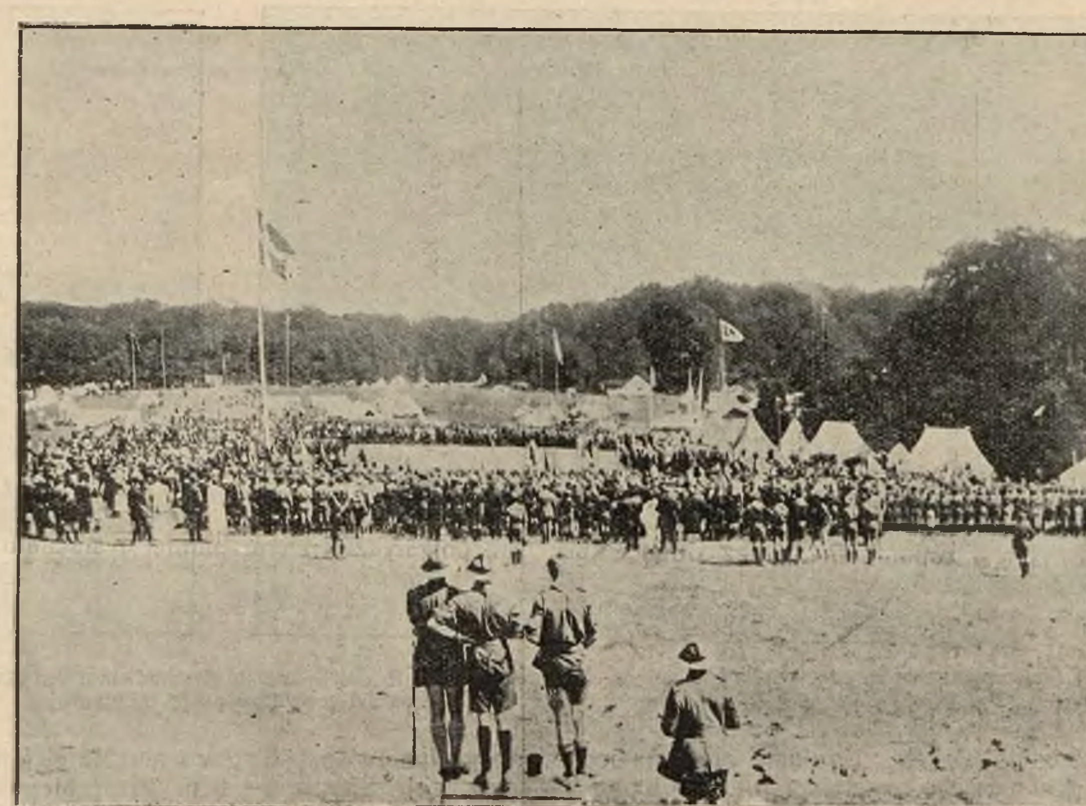
Olbrzymia, spokojna polana, drzemiąca cicho nad leśnem jeziorem w okolu borów Dyrehavem o 8 kilometrów od duńskiej stolicy rozkwitła nagle w przeciągu trzech godzin tysiącem białych namiotów, zabłysła tęczą flag, wyrosłych u potężnych masztów, zaroiła się armją harcerzy, dążących tutaj na międzynarodowy zlot ze wszystkich stron świata.

Jak pod uderzeniem różdżki czarodziejskiej wychynęło tutaj, zda się z fałdów jedwabnej murawy potężne miasto, poprzerzynane arterjami ulic, szeleszczące za podmuchem wiatru płachtami swych płóciennych murów napełnione różnojęzycznym, młodzieńczym, żywym rozgwarem...

Zlot harcerstwa...

Wielka międzynarodowa rewja sił odrodzeńczych świata, drzemiących w piersiach młodych budowniczych jutra. Mobilizacja idealizmu zawartego w wielkiej idei skautowej, uosobionego w harcerskich szeregach. Demonstracja zdrowia, krzepy, tężyzny, duchowego i fizycznego rozmachu, idącego na podbój starego i zdeprawowanego świata...

Z leśnej polany Ermelund rozlega się donośnie na przekór krwawym doświadczeniom wojny, na przekór dowodom powojennego rozkładu, — zdobywczy, bojowy, pełen nadziei okrzyk młodego pokolenia: „Czuwaj!“..



Wielka rewja sił odrodzeńczych świata. Międzynarodowy zlot harcerski rozbił swe namioty na wielkiej polanie w lesie Dyrehavem o 8 kilom. od stolicy Danji Kopenhagi. W zlocie bierze udział 6 tys. harcerzy reprezentujących trzydzieści narodów świata. Wśród nich polska drużyna godnie reprezentuje młodą Polskę.



Nagrody honorowe ufundowane przez Redakcję „Żołnierza Wielkopolskiego“ dla zwycięzców w dniu sportowym w Obozach letnich Przysp. wojsk. w Krokowie nad morzem polskiem. Od lewej mjr. sztab. gen. Maczalski szef. oddz. III. Sztabu O. K. VII i por. Jerzy Ciepielowski redaktor „Żołn. Wielkop.“

Płócienne miasto kipi, wre, huczy intensywnem życiem. Trzydzieści narodów przysłało tutaj sześć tysięcy swych najlepszych synów. Oko przykuwa barwna rozmaitość sylwetek i strojów. Oto jeden z krańców polany jest jak makami usiany czerwonemi fezami Egipcjan. A trochę dalej widać smagłe twarze Indusów. A tam znów idą w żołnierskim ordynku strojni w pióra Indjanie z Ameryki. Ówdzie zamajaczy kraciasta spódniczka Szkota, czy barwny strój narodowy Szwajcara, idącego się popisywać tańcami. Jak wielkie zielone grzyby wykwitają wszędzie rozłożyste kapelusze skautów, które są tradycyjnie przyjęte jako obowiązujący strój głowy przez większość tu reprezentowanych narodów.

Na tem tle odcinają się wyraźnie i silnie rogatywki polskich harcerzy, skupionych wokół własnych namiotów na jednym z krańców obozu.

Dziarskie, rosłe, krzepkie junaki prezentują się dobrze wśród różnojęzycznej ciżby młodzieży, przybyłej ze wszystkich stron świata. Spełniają chlubnie misję reprezentacyjną, którą obdarzyła ich Rzeczpospolita. Umieli wywalczyć dla Polski jedno z pierwszych miejsc na zawodach harcerskich. Imię Polski przez nich znajduje się na ustach wszystkich interesujących się tym olbrzymim, ciężarnym misją dziejową ruchem młodzieży.

W zawodach dotyczących wyekwipowania drużyn, szybkiego rozbijania obozu oraz 3-godzinnych wyników obozowania polscy harcerze zajmują czwarte miejsce za Danją, Anglją, Węgrami. Czwarte miejsce na trzydzieści narodów, biorących udział w zlocie. Czwarte miejsce przed dzielnemi skautami Ameryki, Holandji, Norwegji, Francji, Włoch, Austrji, Szwajcarji i t. d. Czwarte miejsce!... Jakżeż miło odbija ten sukces od naszych niepowodzeń na Olimpjadzie paryskiej.

W popisach tańców narodowych zdobywają młodzi junacy 2-gie miejsce z brawurą prezentując mazura i krakowiaka przed tysiącznemi oczyma widzów, zebranych w letnim teatrze Ulveduale (o 2 km. od obozu).

Nie zasypiają wszakże na laurach polscy harcerze, nie odurza ich hałaszysz sukcesów. Codzień stają do dalszych zawodów, walcząc z wytrwałością, zapałem, ambicją o mistrzostwa w różnych ćwiczeniach skautowych.

Cała Polska życzy im najszczytniejszych wyników. Niech srebrnopióry Orzeł zatrzyma swe szczytne miejsce, w szeregach narodowych godeł, które mu zdołali dotychczas wywalczyć młodzi szermierze harcerskiej idei.



Zawody sportowe o nagrodę honor. Red. „Żołn. Wielkop.“. Skok w zwyż.

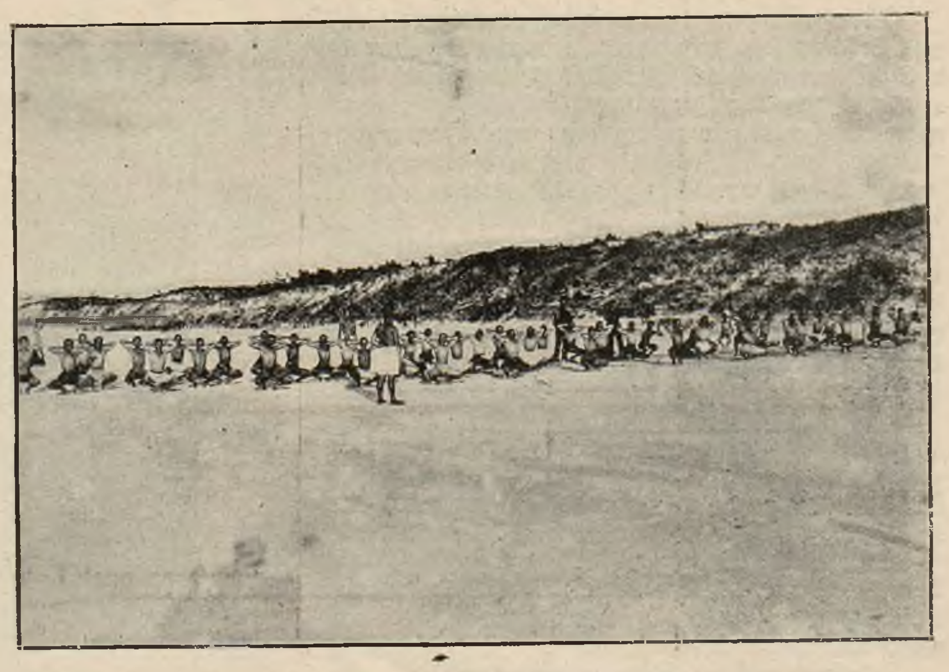




1) Wręczanie nagród zwycięzcom w pięcioboju w Obozach letnich P. W. w Krokowie — przez żonę D-cy grupy p. mjr. Maczalską. 2) Defilada kursistów w Obozach letnich P. W. w Krokowie przed D-cą grupy.

# Młodzież wielkopolska nad Bałtykiem i w Beskidach małopolskich.





1) Gimnastyka młodzieży wielkopolskiej w Obozach letnich P. W. — na plaży nad morzem Bałtyckiem. 2) Obóz letni w Makowie dotknięty powodzią. Kursiści prowadzą akcję ratunkową.

Dowództwo Okręgu Korpusu poznańskiego urządziło w tym roku w dwuch miejscach obozy letnie dla młodzieży wielkopolskiej — członków stow. wojskowych — oraz dla kierowników hufców szkolnych. Jedna grupa obozów rozbiła namioty nad polskiem morzem w okolicach Krokowa, dwie następne u stóp Beskidów w przepięknej okolicy Makowa. Specjalne zainteresowanie się dowódcy tegoż korpusu generała dyw. Raszewskiego sprawami wojskowego przysposobienia na gruncie wielkopolskim umożliwiło w znacznej mierze poszczególnym d-com grup postawienie obozów na bardzo wysokim poziomie. Dtwo grup objęli: 1) (nad morzem) major sztab. gen. Maczalski (zastępca por. Ratajczak), 2) (w górach) grupę instruktorską kpt. Wierzejewski ref. p. r. DOK VII. 3) Grupę P. W. kpt. Piątkowski. Na grupę składały się 3 obozy, z których każdy poza swym dowódcą posiadał instruktora wych. fizyczn., instr. piechoty, oraz wychowawcę moralnego (zazwyczaj profesora gimn.). Przeciętna ilość kursistów w obozie wynosiła do 150 ciu. Po raz pierwszy w tym roku zorganizowany został w Makowie kurs dla profesorów gimnazjalnych (gimn. poznańskich) — na przyszłych kierowników hufców szkolnych. Kursiści kształcili się w rzemiośle wojskowem, teoretycznie i praktycznie. Cwiczono gimnastykę najnowszego typu, uprawiano lekką atletykę (walka na bagnety, szable — boks, skoki biegi i t. p.) Rzecz prosta, iż ten właśnie dział wyszkolenia sportowego pochłaniał najwięcej czasu, znajdując wśród młodzieży najwięcej zwolenników. Nad wyszkoleniem czysto wojskowem czuwali instruktorzy piechoty, którzy mieli do pomocy oficerów specjalistów w służbie telefonicznej, saperskiej, sanitarnej i t. p. Przerabiano służbę polową, musztrę formalną, szkołę strzelca i wyszkolenie bojowe. Największą atrakcją dla naszych „rezerwistów" było ostre strzelanie. Ambitna rywalizacja przy osiągnięciu celnych strzałów, stwarzała wyniki nadzwyczaj dobre, niejednokrotnie nawet wspaniałe.

Nie brak było również i wykładów z różnych dziedzin wojskowości a to: terenoznawstwa, historji wojskowości, pracy oświatowej wśród wojska i t. p. Gry i zabawy, kąpiel, wycieczki wypełniały całe popołudnia. Praca p. wychowawców moralnych w obozach letnich przypadała na czas kiedy kursiści wolni byli od zajęć służbowych.

Do wypełnienia nałożonego przez M. S. Wojsk programu wyszkolenia, uwieńczonego pomyślnym wynikiem końcowych egzaminów, przyczyniła się wyjątkowa chęć w wykonywaniu przez kursistów rozkazów, nadawanych przez pp. oficerów. — Humor, który jest najważniejszym czynnikiem zdrowego ducha obozowego, nie opuszczał młodzieży ani na chwilę lecz przeciwnie dominował w całym okresie ich pobytu w obozach. Już samo życie zupełnie odmienne od tego jakie upływało w domu rodzicielskim, nastręczało temu humorowi — wiele okazji do wybuchów. — I tak: nie całkiem mogli się oni pogodzić z tem, że wstać trzeba kiedy każą a nie kiedy się jest wyspanym, — trzeba się myć nie w miedniczce, ale w rzece a nawet i w morzu, — że na śniadanie zapracować potrzeba dobrą gimnastyką, — na obiad sprawnemi ćwiczeniami i t. d. i t. d. bez końca inaczej jak w domu.

— — — — — — — — — — —

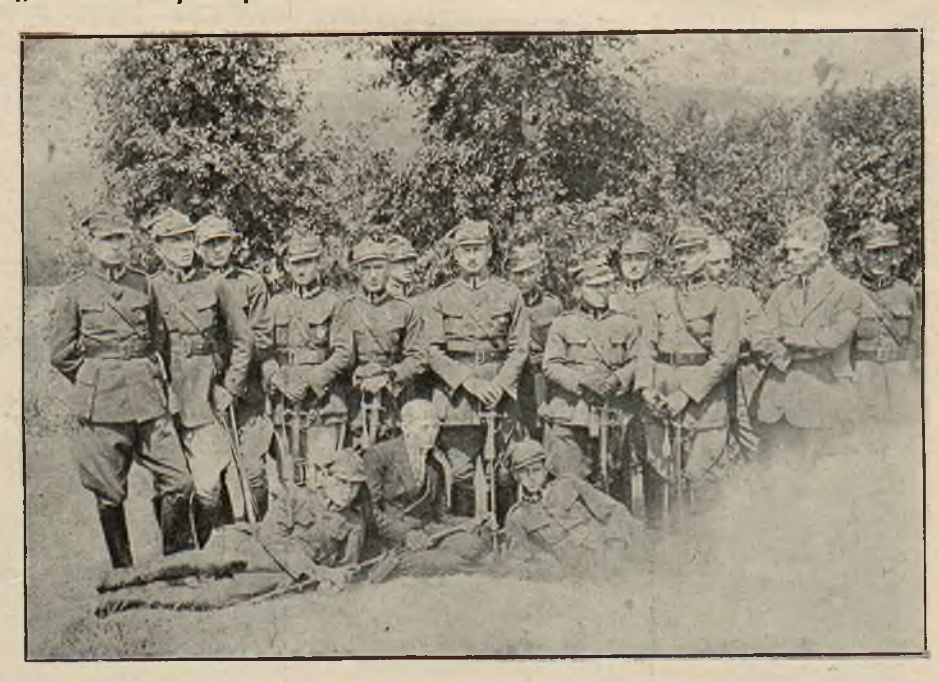
Tak w górach, jak i nad morzem odbyły się w obozach popisy sportowe o honorowe nagrody Redakcji „Żołnierza Wielkopolskiego". — Powyższe dnie sportowe i świetne w tych dniach wyniki pięcioboju, były najlepszym dowodem sumiennej pracy instruktorów wych. fizyczn. Popisy odbyły się przy pięknej pogodzie w obecności licznie zgromadzonej ludności okolicznej. Piękne nagrody zwycięzcom wręczyły (nad morzem) p. mjr. Maczalska, (w górach) p. kpt. Piątkowska. Po zawodach przemawiał do kursistów redaktor „Żołn. Wielp." por. Jerzy Ciepiekowski nawołując młodzież do ścisłej współpracy z żołnierskiem pismem. Okrzykiem na cześć Dcy O. K. VII gen. dyw. Raszewskiego zakończył redaktor swoje przemówienie.

Specjalnie podkreślić należy w powyższym sprawozdaniu z obozów letnich wysoce obywatelskie stanowisko, mieszkańców miasta Makowa oraz władz i urzędów tegoż miasteczka i ich nadzwyczaj przyjazne zachowanie się wobec obozów P. W.

— — — — — — — — — — —

Śmiało wnioskować możemy po dokładnem zaobserwowaniu toku życia obozowego młodzieży wielkopolskiej iż wyniosła ona nie tylko wiele bezcennych wiadomości z dziedziny rzemiosła wojskowego, ale też wiele niezapomnianych miłych i podniosłych wrażeń.





1) Grupa oficerów instruktorów w obozach letnich Przysp. Wojsk. w Krokowie nad Bałtykiem urządzonych przez D. O. K. poznańskie. W pośrodku D-ca Grupy mjr. sztab. gen. Maczalski. 2) Grupa oficerów instruktorów w Obozach letnich Przysp. Wojsk. w Makowie — urządzonych przez DOK. poznańskie w pośrodku D-ca grupy kpt. Piątkowski.

KAZIMIERZ ANDRZEJ CZYŻOWSKI.

# SZEŚĆ GODZIN

Powieść.

— I ktoby to moiściewy powiedział. Takie to było dobre i przytulne, a dziś...

— E, bo wiecie Szymonie, ja tam nie bardzo jasno widzę, aby to on sam te nieszczęścia ściągał.

— Jakoż to? Przecież sąd orzekł.

— Sąd sądem. Ludzie są mylni.

— Jaśnie pan druhem mu był, a sam tak osądził.

— Otóż i to.

— Niby co?

— Nie pamiętacie?

— No juści, trochę tam i pamiętam.

— A widzicie. jaśnie pan...

— Na rany boskie, Jakubie, nie mówcie tak głośno. Drzewa też słyszą.

I siwa głowa Szymona oglądnęła się z trwogą po mrocznym lesie.

W tem z dala zadudnił tętent.

— Jedzie, jaśnie pan jedzie. — Zaszemrały cienie dokoła polany.

— Tętent zbliżał się coraz bardziej i w pewnej chwili na skraju polanki ogłuchł.

Ze spienionego konia, zeskoczył niski, krępy człek i rysiemi oczyma wpatrzył się w ciemny budynek.

Czerwone światło mrugało ciągle, jakby nie przeczuwając, że jest z mroków lasu wypatrywanem.

W krąg jeźdźca zgromadzili się tamci z pod drzew.

— Jest tam, jest jaśnie panie.

— Widzę.

— W tej chwili źródło światła zakrył cień jakiejś postaci, rysując się wyraźnie na oświetlonem do okoła siebie oknie. Postać stała nieruchoma.

— Co czynić jaśnie panie?

— Trzeba raz z nim skończyć. Inaczej wciąż będzie nieszczęścia do nas ze świata przynosił.

— Oj, pora już.

— Obstąpić dom dokoła i zbliżać się pod same ściany. Kilku ze mną zostanie, pójdziemy na drzwi.

I rozpoczął się żywszy ruch na polanie.

Ciemne postacie ludzkie śmielej i nie ukrywając się już dłużej, okrążyły leśniczówkę i zbliżały się pod jej ściany ze wszystkich stron. Tu i tam w zielonem świetle księżyca zamajaczyła błędnym seledynem jakaś twarz, czy wzniesiona ręka. Ruchy ich były grube i niezgrabne, ale w szeptach ich i tajemniczych spojrzeniach przebijała jakaś tępa wola i coś, o czem pewnie nawet sam pan jaśnie prezes nie wiedział. On wprawdzie dowodził, ale oni jakby mieli swoją myśl, swoje zdecydowanie.

Ci i owi wśród nich potrząsali widłami i kosami, kilku zaś nawet, zapewne gajowych, strzelby niosło przed sobą.

Powoli łańcuch dokolny zamykał się.

Tymczasem tajemnicza postać w oświetlonem oknie nie ruszała się.

Pan prezes z kilkoma ludźmi podszedł już do bramy.

— Czy wszyscy na miejscach?

— Na miejscach!

Nagle w ciszę nocną uderzyło hałaśliwe kołatanie do drzwi i ostry, niemiły krzyk:

— Hej tam! Otworzyć!

Nikt nie odpowiedział z domu.

Czekano długą chwilę, ale dom dalej stał głuchy.

— Otworzyć tam, bo wywalimy drzwi!

I ze wszystkich stron posypały się krzyki na wymarły dom.

— Otworzyć!!

— Siekierami weźmiemy!!

— Wyrąbiemy okiennice!!

Nagle w górnych oknach zaczęły błyskać pojedyńcze światła, — powoli, — jedno za drugiem, — a niemal w każdych oświetlonych szybach stawał jakiś cień i trwał w bezruchu.

Dolne okna, szczelnie zamknięte okiennicami, ślepo dudniły od razów obuchów i kijów.

W jednej chwili zauważono ukazanie się świateł w oknach i nieruchomych cieni.

Szmer lęku i zdumienia obszedł leśniczówkę.

— Co to jest?

— On tam nie jest sam...

— Patrzcie!... Ich jest trzech...

— ...czterech... pięciu...

— To jego banda! — Wrzasnął jaśnie pan. Brać ich przemocą!

Ktoś pierwszy ostrą siekierą wciął się z trzaskiem w drzwi.

Ale w tej chwili niemal otwarło się ciemne okienko nad bramą i huknął strzał jeden, potem drugi...

— Strzelają!

Najbliżsi w lęku odstąpili od drzwi i skryli się za niedalekie drzewa.

Nagle z innej strony domu huknęły inne strzały, a w ślad za nimi dobiegły i stamtąd krzyki:

— Strzela! — Odstąpić pod drzewa!

Zakłębiło się na polanie od ruchu.

Światła w oknach jak zapalały się po kolei tak teraz gasły, ale równocześnie otwierały się okna i padały z nich strzały, jazgocząc nad głowami oblegających świszczącemi kulami.

Pierwszy strach porwał chłopów i kazał im się cofnąć na skraj polany pomiędzy drzewa. Pa prezes pienił się ze złości.

— Nie odstępować!

Ale w tej chwili żadna siła nie zmusiłaby przerażonych nagłą niesamowitością zdarzeń ludzi, do powrotu pod ściany.

Zrozumiał to i momentalnie zmienił plan.

Kazał dalekiem kołem obledz budynek i pilnować bacznie, by nikt z niego nie mógł wyjść niepostrzeżenie.

A potem z tych kilkunastu strzelb gajowych i jego karabina otworzono ogień do ciemnych, otwartych i zamkniętych okien budynku.

Rozległa się kanonada pojedyńczych, nieregularnych, ale częstych po sobie strzałów, ze wszystkich stron polany.

Z tego i innego okna, coraz to z innej strony odpowiadano mu. Odpowiedzi te jednak były rzadkie.

— Mało widocznie mają amunicji.

— Strzelać celnie! Poddadzą się!

Chłopi znać mieli wiele naboj6w, bo strzały ich były coraz częstrze i zawzięcie trafiały w szkło okien, z brzękiem spadające wzdłuż ścian na polanę.

Zawzięty atak na niewidocznego w domu wroga, trwał długi czas.

Strzelców prezes sam obiegał do koła polany i zachęcał do walki.

Ale ci chłopi, którzy strzelb nie mieli coraz gromadzili się w małe grupki i na swoją rękę też radzili.

Groźne to musiały być narady, bo oczy ich w zielonych, upiornych w księżycu twarzach, zapalały się kłójącemi blaskami.

Nad czem radzili, — niewiadomo. Stali w gromadkach pod drzewami, pochyleni ku sobie i szemrali pół sylabami.

Na widok jednakże zbliżającego się prezesa rozstępowali się i milkli.

Po przeszło półgodzinnym bezustannym ogniu, ktoś nagle zauważył, że z czerwonego budynku już dawno nikt na strzały nie odpowiada.

Więc i z tej strony powoli jęły milknąć huki.

— Hej tam! Pierścieniem podchodzić! — Szepnął rozkaz pan prezes, a za nim z ust do ust do koła polany podano go w ciszy.

I znowu zamigały cienie na polanie.

Niezgrabnym, grubym biegiem ta i owa postać podbiegała do ściany i przylepiała się do niej.

Już dotarto pod okna i drzwi.

Znowu odezwał się hałaśliwy łomot.

Ale tym razem tylko pan prezes sam łomotał w drzwi. Dokoła zaś budynku pod ciemnemi, podziurawionemi kulami okiennicami, stali chłopi i dalej prowadzili szeptem swą tajemniczą zmowę.

Prezesa bało się widocznie i nikt nie śmiał na głos podać swej rady.

Przyczajeni pod oknami stali i radzili...

— Pan zacięty.

— Haj, chce bić się ze złem.

— Widzieliście przecie. Nie sam był.

— Skądby mógł sam ze wszystkich okien strzelać.

— Musi być kupą całą zalegli.

— Gotowi pójść na wieś.

— Prędzej na pańskie pójdą.

— A z pańskiego do naszego o krok.

— Prawda i to.

— Nie wiadomo nigdy, jak nieszczęście wymiarkować.

— Wydusićby ich tu wszystkich.

Tymczasem parobcy na rozkaz pana z całych sił łomotali i walili siekierami w uparte drzwi.

— Zabarykowali się od środka.

— Pod siekierami puści!

— Walić dalej! Drzewo nie żelazo, rozstąpi się. I coraz błysk siekiery wcinał się z poświs'em w głuche drzewa.

Ale dookoła mnożyły się szepty pochylonych ku sobie, z lękiem oglądających się głów.

— Ale, — pocoby zaś znowu się pokazał, jak nie po pomstę.

— Mówią, krzywda mu się stała.

— Odcierpiał swoje, winni mu wiedy, — dwa lata temu, — dać spokój.

— A kto zaczął, jak nie on?

— A nie on!

— Ino kto?

— Tamten...

— Pan?...

— A juści...

— Pst.. Po nocy wszystko słychać.

— A pan ma uszy jak wiatr.

— Uciszyło się na chwilę. W jasnej nocy dudnił i trzaskał rąb siekier. Z wnętrza czarnego budynku odpowiadało mu głuche, samotne echo.

Lęk jakiś szedł od ścian i obejmował sobą przytulone do nich postacie.

Coraz ktoś ku oknom spozierał trwożliwie. Za tylną ścianą zaszemrało znowu.

— Jednem tylko skończyć by z tem można.

— Czem?

— Świętym ogniem.

Niektórym tylko uszom słyszalny podszedł szept.

— Skończyć z tem świętym ogniem . . . . ...świętym ogniem...

Wreszcie trafiono w jakieś niepodparte od wewnątrz miejsce.

Dwie siekiery wbite z rozmachem zanurzyły się w szparze i podważyły trzaskającą, rozdartą ostrzem deskę.

— Dalej ciąć! Powiększyć dziurę!

I sam mocnemi rękoma ujął znowu siekierę, a rozkraczywszy krótkie, silne nogi, ciął w ściany dziury z całym rozmachem.

Przez otwór wionęło zimne powietrze czarnej czeluści sieni.

Odsunięto obuchami i widłami w okół dziury podpierające drzwi bale i kłody, tak, — że od biedy pojedyńczo już można było wedrzeć się do środka.

On, kusy, zgarbiony jak podrażniony ryś do walki, z rewolworem w ręce pierwszy się do środka wsunął.

— Dalej! Za mną ze trzech! — Reszta niech dokoła pilnuje!

Jacyś wsunęli się za nim, oglądając się z trwogą po pozostałych.

— Rozrąbać szerzej otwór!

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Macając ręką ściany, posuwał się wolno w ciemnej sieni.

— Idziecie za mną? — Spytał szeptem.

— Idziemy panie, — odpowiedziano mu prawie ode drzwi.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

— ...Swiętym ogniem spalić złe... świętym ogniem zakończyć...

Już nie krępował ich zimny i srogi wzrok pana.

Nie odstępowali od ścian wprawdzie, ale przysuwali się ku sobie i patrząc rozbłysłemi przesądem oczyma, podawali sobie jakieś na wpół pogańskie, ponure znaki.

...Swięty ogień spali do cna...

..Ratujmy się..

Jakieś ogniki zabłysły w ciemności. Jeden, dwa, trzy, dziesięć... bardzo wiele... padają skry z krzesiw cicho trzaskających.

...Ogniki opadają nisko, niżej... przywierają do ścian... pełzają po nich wężykami... coraz jaśniej, jaśniej.. uparciej, częściej, napastliwiej...

III.

Pani stała przy oknie i patrzyła w sad. Obcy już dawno znikł za zakrętem pomiędzy drzewami, a ona wciąż stała i patrzyła.

— Tak, on mówił prawdę. Jakiś cichutki żal powstaje w niej, że nie stało się to „coś" pomiędzy nimi, co może miało się stać.

Pierwszy i jedyny pojawił się w jej niemal samotnym życiu, ten obcy z dalekiego świata i tak dziwnie, tak bardzo dziwnie z nią rozmawiał.

Czyżby świat cały, ten poza tym dworem, był tak innym od tego tu, naokoło niej?

W granatowych oczach jego pamiętała spokojne, niemal aksamitne, pogodne światła. Czyżby tam daleko, skąd on przyszedł spokój był i pogoda?

Dlaczego więc z bronią i przez okno wtargnął do jej pokoju.

Mówił proste słowa i prawdziwe. Ale w tej prawdzie i prostocie tyle tajemnicy było.

A kiedy pani chciała strzelić, ręka jej odmówiła, a serce biło cichutko, jakby prosiło, by nie strzelała.

Usłuchała serca i ręki nie przemogła. Pewnie dobrze zrobiła.

Kazał jej czekać. O jedenastej ma wrócić, ma jej coć więcej powiedzieć.

Kazał?? — No tak, poprostu kazał. W jego głosie nawet prośba rozkazem się wydaje.

Dokąd on mógł pójść? Co załatwić ma po nocy i gdzie?

Pani oparła głowę o framugę okna i rozmyślała, powoli odchodząc od rzeczywistości, coraz dalej, za tym obcym nieznajomym.

Prawie, że nie był już obcym jej. — O jedenastej... a gdyby nie wrócił już więcej?...

Ciche pukanie odezwało się we drzwiach i wtargnęło do pokoju.

Pani oderwała się od okna i ręką czoło potarła.

Przypomniała sobie, że ten pokój nie sam jest na świecie w tej chwili.

— Proszę wejść.

Stary Wojciech, siwiuteńki jak gołąb, z gołąbkowemi oczyma wszedł do pokoju.

Oglądnął się zdziwiony i przez okno rzucił okiem w sad.

— Szukałem pani dziedziczki po całym pałacu, a paniusia tu sama, w tym pokoju.

— Czy stało się co? — zapytała dość niechętnie.

— Chwała Bogu nic jeszcze. Ale pan prezes kazał mi powiedzieć, że dziś nieprędko wróci, a ja mam być pod bokiem jaśnie pani i pilnować jej.

— Poco?

— Aby się pani co złego nie stało.

— Aby mnie się co złego nie stało?

— Tak jest.

— Dlaczego? Co się dzieje? — Gdzie pan czemu wszystką służbę zabrał ze sobą?

Stary trwożnie oglądnął się po pokoju i podszedł do niej dwa kroki.

— Pokazał się znowu dziki Daniel i pan urządza obławę na niego.

Pani zdziwiła się ogromnie.

— Któż to jest dziki Daniel?

— To pani nie wie kto jest dziki Daniel?

— A skądże mam wiedzieć?

Stary spochmurniał i długo swą głową kiwał, jakby mu się w głowie nie mogło pomieścić, że ktoś może nie wiedzieć, kto jest dziki Daniel.

— Więc któż to jest, ten dziki Daniel? — spytała pani naprawdę zaciekawiona.

Ale on trwożnie oglądnął się dokoła i szepnął:

— Niech pani tak głośno nie wymawia jego imienia.

Jego lęk, jakąś słabiuchną na razie obawą i jej się udzielił.

— Co to wszystko znaczy? Kto to taki, o którym mi głośno mówić nawet nie wolno?

— Proszę paniusi nie gniewać się na mnie. Nam służbie pan prezes strasznie ostro zakazał o tem mówić.

— Mnie chyba Wojciech może powiedzieć!

— O, nie wszystko, nie wszystko paniusiu.

W zaciekawieniu tej chwili obecnej, tajemnicze pół zdania Wojciecha, biły w pani myśli o obcym, nieznajomym i jeszcze bardziej podsycały w niej chęć wydobycia szczerych i jasnych słów ze starego.

— Przecież Wojciech wie, że ja go nie zdradzę.

Zamyślił się stary.

— Chyba tyle mogę powiedzieć, co mówią ludzie we wsi, a i sam pan prezes co o nim opowiada.

— Cóż mówią ludzie?

— Że jest to straszy człowiek i ile razy pokaże się w tej okolicy, tyle razy nieszczęście idzie w ślad za nim i spada na ludzi.

Gołąbkowemi oczyma patrzał w ziemię i mówił w zadumie, poważnie, — tak jakby mówił o nieszczęśliwym, a nie o przeklętym i upiornym.

— Czy to bandyta? Złoczyńca?

Nie odrywając wzroku, pokiwał głową siwiuteńką.

— Ja nie wiem nic. Mówią tak ludzie. Ci co go widzieli, opowiadają, że jest straszny. Obrośnięty jak dziki człowiek, białe zęby jak wilcze kły ludziom pokazuje, gdy go kto spotka, a potem uskakuje w lasy i niknie, — a ten co go widział, drży i drżą wszyscy, na kogo kolej teraz przyjdzie. Oczy ma podobno jak dwa węgle płomienne, a włosy w węże poskręcane.

Nie wiedziała pani, czy ma odetchnąć z ulgą, czy też nie wierzyć opisowi.

— Nie wiedziałam, że taki niebezpieczny człowiek jest w tej okolicy.

Żal jakiś niezrozumiały zadźwięczał w następnych słowach starowiny.

— Oh, on tu stale nie przebywa. On tylko od czasu do czasu zjawia się. Wtedy lęk i strach idzie po ludziach... I wtedy pan prezes zwołuje chłopów ze wsi, albo i władze i urządza na niego obławę.

Po chwili dodał:

— Ale dziś nikt jeszcze nie potrafił złowić go w sidła.

Pani była mocno zdziwiona.

— To dziwne, że ja jeszcze nigdy o nim nie słyszałam.

— Dziwne, albo i niedziwne.

— Co to znaczy Wojciechu?

Wojciech nagle podniósł głowę, popatrzał na nią uważnie, obejrzał się znów ostrożnie dokoła, jakby wciąż nie wierząc, że są sami w pokoju i szepnął:

— My mamy zakazane mówić o tem cośkolwiek, ale jeśli mię pani nie zdradzi...

— Nie bójcie się Wojciechu. — Mimowoli zniżyła głos do szeptu.

— Mówią ludzie i pan prezes tak zeznał, że to właśnie on wtedy zabił!...

— Zabił? Kogo?

— A no, — siostrę pani dziedziczki..

Cofnęła się o krok z przerażenia.

— Moją siostrę?

— Tak ludzie o nim mówią.

Już otworzyła usta do jakichś słów, ale cofnęła się, zatrzymała słowa na chwilę, jakby instynktem wiedziona nie chciała zdradzić się z niemi, by nie spłoszyć starego.

Ogarniając krzyżem rąk piersi, zapytała cicho, urywanie:

— Kto to mówił?

— Pan prezes pierwszy, jak tylko komisja przyjechała.

— Powiedzcie mi wszystko Wojciechu, co tylko wiecie o tem.

Popatrzał na nią ostrożnie i tkliwie.

— Ino gdyby mnie pani zdradziła, pan prezes nie darowałby mi A mnie, chociem stary, miła jeszcze głowa.

— Nie zapomnę wam tego nigdy. Nie obawiajcie się.

— Boto było tak. Pani dziedziczka była wtedy jeszcze gdzieś tam w szkołach, czy w klasztorze. A siostra paniusi, pani Anna, owdowiawszy po panu Piotrze, zamiast się wyprowadzić do któregoś swego folwarku, bo przecież pan Piotr bogacz był i jeno z fantazji do lasów, i umiłowania ich mieszkał w leśniczówce, — tak też po jego śmierci, powtarzam, pani Anna została w leśniczówce. Pan prezes, niby pan Szporn, jak za życia pana Piotra, tak i teraz codziennie prawie zajeżdżał do leśniczówki, opiekując się panią Anną.

— Aż tu raz, ni stąd ni z owąd poszła gadka po ludziach, że pokazał się dziki Daniel.

Pani niechcąco zapytała:

— Ale któż to taki?

Wojciech ręce jak do modlitwy złożył przed nią:

— Oj, paniusiu złoteńka, — tego to ja za nic zdradzić nie mogę.

— Czy znali go tu kto już przedtem?

Jakby wspominając coś dawnego, Wojciech popatrzał znowu w ziemię i zakiwał głową:

— Oj, znali go, znali i kochali i błogosławili, aż do śmierci pana Piotra. Tak, tak aż do nieszczęśliwej śmierci męża pani Anny.

— Jakto do nieszczęśliwej śmierci?

— A no niby do jego zastrzelenia.

Bita gwałtownemi a nieznanemi jej aż do dziś wiadomościami, pani białemi dłońmi mocno ściskała piersi, ledwo mogąc oddechem nadążyć bijącemu na gwałt sercu.

— Pan Piotr został zastrzelony?

— To i o tem paniusia nic nie wiedziała? Ze współczuciem popatrzał w jej oczy.

— I to on... ten Daniel?

— Tak orzekł sąd. Znaleziono jego strzelbę na miejscu zbrodni.

Pani jakby opadała w sobie.

— A mnie powiedziano wtedy tylko tyle, że szwagier mój umarł.

— Bo i poco mieli panią ze zbrodnią spotykać. Pani wtedy była jeszcze pewnie maleńką panienką.

Czułe, brutalne macki tych ciemnych spraw, jak oplatają ją powoli i duszę a nie mogła już oprzeć się, by nie chcieć nic o nich wiedzieć.

— Mówcie dalej — Wojciechu. — Szepnęła cicho, gotując się do wysłuchania.

Zawahał się Wojciech przez chwilę, ale przecież był tylko sługą, a wśród maluczkich zbrodnia nie tylko senzacją jest, — ale jest czemś większem, niesamowitszem, graniczącem z innem życiem. Jakże się miał mimo nakazów, oprzeć pokusie rozpamiętywania na głos o tem.

A może miał inne powody, by przed panią odsłonić rąbek tajemnicy.

— Wtedy go uwięzili i skazali na śmierć, ale on uciekł podobno i wszelki ślad po nim zaginął.

A we wsi aż wrzało. I dużo czasu upłynęło nim uspokoiło się po tym wypadku i do dawnego spokoju wróciło.

I znowu stary zamyślił się i głowę opuścił ku ziemi w zadumie.

— Jakoś wtedy wybuchła wojna. Zdawało się, że wszystko, co dawne przepadło. — Wdowa po dobrym panu Piotrze mieszkała w leśniczówce, a pan Szporn, jeździł do niej i opiekował się nią niby.

— Aż tu raz ktoś będąc w leśniczówce, bodajże stary Szymon, zobaczył go, niby Daniela w oknie, a ktoś inny znowu wieczorem spotkał go w lesie, jak pod ten pałac się przebierał lasem. — Dano odrazu znać panu Szpornowi. — We wsi stało trochę wojska... Pan zaalarmował je, zebrał chłopów ze wsi i wojsko i urządził obławę tej samej jeszcze nocy. — Ale on znowu znikł jak kamień w wodzie... A w dwa dni później umarła pani Anna...

Ostatnie słowa jego za lęgnęły się ciszą.

Milczeli oboje przez długą chwilę. I jej nie bieskie i jego gołąbkowe oczy wbite w ziemię, widziały tamte straszne wydarzenia.

Nagle oboje naraz podnieśli wzrok i spojrzeli w siebie dokładnie, jakby porozumiewawczo.

— Dziś akurat dwa lata od jej śmierci...

Spokojnie, ale dobitnie, zostawiając miejsce na domysły, szepnął Wojciech:

— Czyżby i ją ten dziki Daniel zabił? — Spytała pani.

Starego jednak to imię naprawdę przerażało, bo znowu obejrzał się z trwogą, a oczy jego spokój utraciły.

— Ja nie wiem. — Ja nie wiem. — Tak mówią ludzie i tak pan prezes zeznał przed komisją.

Pani jednak spostrzegła jego dziwną obawę i niechęć przyznania się do swego o tym sądzie.

— Wojciech czegoś się boi.

— Boję się tej pięknej nocy, paniusiu i nakazu pana prezesa.

Czuła jednak, że prawdopodobnie tai coś przed nią.

— Mówcie dalej Wojciechu.

— Nie ma już o czem i mówić. Po takich sprawach i wypadkach, smutną miał pamięć we wsi. Przecie od tego drug ego nieszczęścia dwa lata już minęło, a ludzie we wsi i tak go zapomnąć nie mogą.

Ale pani prawie nie słyszała już tych słów. Tamte słowa, opowiadając jej o zbrodniach popełnionych na tak bliskich jej i drogich osobach, odsłoniły przed nią kawał życia, o którem pani nie prawie nie wiedziała i powiodły jej myśl, może poraz pierwszy w jej życiu w jakieś mroki.

A Wojciech ciągnął dalej, jakby rozmawiał sam ze sobą, jakby żalił się, jakby nieprawdą było jego zaparcie się, że nic o tem nie wiedział.

(Ciąg dalszy nastąpi).

J. BRAUN.

# „DEMON FILMU“

9

Zaiste baron Dax nie mógł sobie znaleść trudniej dostępnej kryjówki...

Ale nie.

On się nie kryje przed nikim.

Wszak przyjmuje wszystkich gościnnie i radośnie.

Czasami tylko w nocy głuchej, bezgwiezdnej i tajemniczej okręt jego podnosi cichutko kotwicę i całkiem „incognito“ podrywając się lekko, bez wstrząśnień z legowiska — wysuwa się z gęstwiny okrętów mijając zręcznie, jak baletnica czarne piętra stalowych kadłubów i wyślizgując się z pomiędzy wązkich oczek tej olbrzymiej sieci, jak mała, przebiegła jaszczurka.

Milczkiem, bez warkotu maszyn, z pogaszonemi światłami wypływa na pełne morze, przecinając na ukos, jak delfin na łowach — zmydlone grzebienie fal.

Dziś właśnie, w pochmurną, atramentową noc wyrusza „Bajadera“ na taką złodziejską, dziwaczną eskapadę.

Baron Dax, inaczej „Demon Filmu“, również nam znany pod mianem reżysera Browna i dyrektora Blanka, w futrzanej kapuzie i ceratowym płaszczu, otulony jak widmo, przemyka się po pokładzie wydając półgłosem rozkazy.

Noc sprzyja potajemnej żegludze..

Morze jest niespokojne, burzliwe.

Brudno białe „kotki“ pian unoszą się, drgają i skaczą na grzbietach małych, złowrogich bałwanów... Głuchy, posępny bas toczących się, jak walce, wzdętych wałów wód bełkot i plusk fal uderzających o burty okrętów, skrzyp starych, sędziwych fregat, rozklekotanych jak smutne graty, skowyt wiatru wśród lin, łańcuchów i masztów głuszy zupełnie szmer oddalającej się „Bajadery“.

A przytem jeszcze jedna okoliczność pomyślna:

Noc jest dżdżysta i mokro-mglista.

Miljard baniek trzepoce się, chlapie i klaszcze po powierzchni morza. Rzęsista ulewa szumi przeciągle, wszystkie odgłosy zlewają się w jeden melodyjny, rozlewny hałas.

Psi czas...

Dax cofnął się do „kapitańskiej“.

Wiatr i fale uderzają co chwilę jękliwie o okienka kajuty.

Wszedł Harry, pierwszy porucznik załogi...

Salutował.

— Co słychać?

— Wydostaliśmy się z golfu. Płyniemy na południowy zachód

— Dobrze

Pochylił się nad mapą.

— „Ceylon“ powinien być tutaj — o, w tem miejscu. To już niedaleko.

Porucznik skinął głową.

— Jakieś dziesięć do dwunastu węzłów.

— Jak sądzisz Harry. Będą?

— Będą z pewnością. Myślę, że czekają już od południa i to z bogatym łupem.

— Oby. Noc sprzyja ..

— Ziąb. Deszcz. Ciemności egipskie...

— To dobrze. Nie dostrzegą nas.

— Tak, ale huk fali i ulewa będą nam bardzo przeszkadzać. Nie usłyszymy umówionej syreny.

— Ależ ona jest djablo głośna.

W tej chwili odezwał się daleki, ostrzegawczy gwizd.

— Cóż to? Może oni?!

— Nie, to inna nuta...

Dax wyjrzał na pokład. — Na burzliwej powierzchni morza jakieś widmo okrętu... Przyćmione światła..

Harry spojrzał również przez lunetę.

— Torpedowiec — rzekł spokojnie.

— Te psy wietrzą pilnie — —

— Nie dostrzegą nas. A zresztą... płyną wolno.

Smuga reflektoru. Szeroki, jaskrawy pas światła.

— Oho, macają. Gotowi nas „zlornetować“

Ale torpedowiec oddalił się płynąc w przeciwną stronę.

— No, chwała Bogu — odetchnął Dax. — Mogli nas byli wytropić przy spotkaniu z „Ceylonem“ i „capnąć“.

— O, to zrobiliby bez skrupułów.

— Myślę. Przecież „Cejlon“ jest zwyczajnym korsarskim draniem i to zdaje się jedynym na cywilizowanych wodach w obecnem stuleciu.

— Stary Dżjariputta to spryciarz nielada. Wywija się zawsze, jak węgorz z pułapki.

— Wiedziałem kogo przeznaczyć na to stanowisko. Ale patrz, Harry. Zdaje się, że jesteśmy na miejscu. Daj sygnał.

Harry wziął do ręki tubę telefonu..

— Jim, jesteś...

— Tutaj.

— Łódź w pobliżu. Dać sygnał...

— Zrobione.

Rozległ się przeraźliwy, ogłuszający pisk syreny i przekrzyczał trjumfalnie całą burzliwą symfonję Oceanu.

Dax i jego porucznik wyszli na pokład.

Wiatr lunął im chłodem i deszczem w oczy. Zawinęli się szczelniej w płaszcze. Kapitan wyszedł na pomost i wziął do ręki ustnik tuby...

Niedaleko, z odległości najwyżej 1 mili morskiej odpowiedział „Bajaderze“ znany skowyt syreny z podwodnej łodzi, okropny jak ryk hjeny.

Dax ucieszył się.

— Halloo..

— Do usług. Kto mówi?

— Dax.

— Czołem kapitanie. Tu Dżjariputta.

— Jakże tam?

— Poszczęściło.

— Uff! To dobrze.

— Jak zdrowie?

— Doskonale.

— Płyniemy do was.

— Czekam.

Dax zatarł ręce zadowolony.

— Harry, słyszałeś? Wszystko w porządku.

— Mówiłem..

Za chwilę tuż obok parowca wynurzył się z fali czarny kadłub podwodnej łodzi.

„Ceylon“ był korsarskim rabusiem, ostatnim może na kuli ziemskiej w tej chwili. Pojawia się w rozmaitych odstępach czasu na rozmaitych morzach i szlakach okrętów topiąc statki obarczone najkosztowniejszym ładunkiem, poczem za pomocą balonów zgęszczonego powietrza przymocowywanych przez nurków do kadłuba zabezpieczał je na chwilę od pójścia na dno morza, a obrawszy statek z najcenniejszych przedmiotów pozwalał mu okrutnie zatonąć. W ten sposób Dax stawał się posiadaczem niezmiernych często skarbów i łupów. Cenny t war zbywał potem przez ajentów w Centralopolis — przeważnie u Chińczyków, nie mających skrupułów przy kupnie niepewnego pochodzenia przedmiotów.

I teraz, zatopiwszy statek angielski wiozący z Transwaalu platynę przybył „Ceylon“ punktualnie na oznaczone rendez-vous z „Bajaderą“. Stary Hindus Dżjariputta, złowrogi, dziki wilk morski, bronzowy od walki z morzem i brodaty, jak patryjarcha opowiadał Daxowi przebieg rozbójniczej wyprawy, opisując dokładnie i plastycznie polowanie na nieszczęśliwy statek, szaloną gonitwę i straszny moment zniszczenia go torpedą...

Potem przeładowano z trudem potężny balast.

Łódź podwodna pogrążyła się znów we fale, a obciążona nadmiernie „Bajadera“ wolno, z wysiłkiem brnęła z powrotem do portu.

...Oto, w jaki okropny i drapieżny sposób Anglo-Hindus Dax zdobywał pieniądze potrzebne mu do wprowadzenia w życie jego olbrzymich planów.

Ale miał jeszcze jedną, ostateczną, dotychczas niezbyt naruszoną rezerwę.

Był nią skarb radży Kaszmiru...

Gdy stary książę zmarł, opłakiwany szczerze przez swych poddanych w Srinagarze, córka jego Riksza, kochanka Daxa, namiętna i dzika jak pantera, objuczywszy swoje słonie przebogatym skarbem Kaszmiru pozostałym po długim szeregu antenatów, uciekła z awanturnikiem z rodzinnego miasta i poszła za nim w świat jak wierna niewolnica.

Mimo pościgu żołnierzy rządowych i pomocy europejskiej policji nie zdołał czcigodny następca zmarłego radży, a brat Rikszy odzyskać skarbu i schwytać złoczyńcy, na którego imię dyszał zemstą — za rabunek i uwiedzenie siostry — i wyciągał krzywy miecz z pochwy.

Dax uwiózł Rikszę, a z nią kolosalny, wielomiljonowy majątek radżów w złocie, srebrze i drogich kamieniach, niezliczonych jak gwiazdy na niebie.

Były tam posążki Budhy, Kryszny i bogini Kamy odlane ze szczerego złota. Były pierścienie bezcenne wysadzane brylantami i rubinami. Były kolczyki, djademy i długie, ciężkie zausznice żon i nałożnic książęcych. Były łańcuchy, hełmy srebrne i nabijane perłami pasy władców Lahore, Srinagaru i plemion z gór Himavatu. Były sztylety w pochwach drogocennych i krzywe, jak półksiężyce, malajskie krissy zdobyczne, o płonących przepychem głowniach. Były i ankusy używane do polowania na słonie i ubiory głów i napierśniki sławnych bajader i uprzęże rumaków i słoni, które olśniłyby oczy europejskich złotników. Były stołki złote, poduszki, bransolety i agrafy, serwisy pałacowe i na Mongołach zdobyte buńczuki — wszystko iskrzące, migotliwe, brzęczące, oślepiające swym żółtopromiennym blaskiem...

Takim był skarb radżów Kaszmiru, który zaślepiona namiętnością Riksza uniosła na jucznych słoniach do zbrojnego obozu Daxa, zatajonego w dżunglach nad górnym Gangesem...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Przemyciwszy zręcznie i sprawnie platynę do składów chińskich kupców na wybrzeżu, „Bajadera“ legła spokojnie na swojem zwykłem miejscu, tak że nazajutrz żaden marynarz, ani oficer sąsiednich parostatków obudziwszy się nie domyślał się nawet, że jacht odbył w nocy tak chytrą przeprawę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# O modach i miłości, czyli flirt z panną Nellą.



Koszulka pod jumper.

Łaskawych informacji udzielił nam z grzeczności magazyn mód p. Leona Braciejowskiego.

— No, panno Nelli, proszę już wyjść z za parawanu! Doprawdy, wy, kobiety, wstydzicie się, gdy tego wcale nie potrzeba! Nie mam wcale zamiaru zachowywać się względem pani agresywnie; chcę tylko zaczerpnąć fachowych informacji u źródła..

— Ach! Panie! to już wszystko nic... ale gdyby się tak kto dowiedział.. to okropnie lekkomyślnie z mojej strony.

— Nie, dziecko! Niema na całym świecie ani jednej lekkomyślnej kobiety. Niech pani to sobie zapamięta — tylko mężczyźni są często niedyskretni!

— Ma pan argumenty bardzo przekonywujące, ale to okropnie przecież niestosowne...

— Tak? Straszna z pani purytanka! A gdybym tak...

Tu zdecydowałem się na szaleństwo i wsunąłem głowę za parawan. Na stołeczku leżał stos różnych rupieci, a więc: parasolka, kapelusik, coś jedwabnego, jakieś wstydliwie skryte koroneczki, a na tle barwnej wschodniej materji stała zawstydzona Nelli, zakrywając twarz łapkami. Ciało jej, barwy różanej konchy perłowej kusiło tysiącem powabów. Jednak tu kropka. Absolutnie nie mogłem nadużyć jej zaufania, więc, choć ciężko na sercu, lecz kropka, a nie kropki, jak to zwykle się zdarza.

Zresztą panienka stanęła energicznie w swej obronie.

— Jak pan śmie?

— Cicho, malutka! Przecież niema w tem nic zdrożnego.. to tylko takie reporterskie przyzwyczajenie...

Uspokoiła się.

Autorytet mego zawodu ratował mię już od różnych przykrych kolizji.

— Panno Nelli, — powiedziałem — gdyby nie była pani modelką, stałabyś się współczesną Wenus. Tylko obłoki o zachodzie słońca mają taką barwę i niech mi pani wierzy — prawdziwe piękno nie potrzebuje parawanu.

— Ma pan tak przekonywujące argumenty...

Z za parawanu rozległo się przytłumione westchnienie i ukazało się biedne maleństwo, otulone w epongeowy płaszczyk.

— To dopiero bukiet w bibułce — zauważyłem — chciałbym ujrzeć kwiaty!

Zsunął się płaszczyk z białych ramion i opadł na ziemię bezszelestnie — „koszulki nosi się z crèpe de chine...— wyjąkała zmieszana mocno — z crèpe de chine... i ubiera się je walensynkami, koronkami i wstążeczkami... nie, panie może już dosyć... jeszcze kto przyjdzie!

— O! przepraszam bardzo! To jest nocna koszulka? Prawda?

— Tak.

— No, dobrze! zaczynam notować; więc z crèpe de chine?

— Właśnie! jest to śliczne, leciuchne i bardzo praktyczne! Rękawków nie nosi się zupełnie, a koszulki trzymają się na dwóch kolorowych crèpe de chinowych wstążeczkach, zakończonych dwoma dzwoneczkami. Do prania odejmuje się te wstążeczki, co jest ogromnie wygodne. Koszulki aranżowane są, jak powiedziałam, walen-



Elegancka nocna koszulka z crèpe de chine, przybrana walensjenką i monogramem.



Czepeczek nocny z crèpe de chine, z takiemiż kolorowemi wstążkami.

synkami, koronkami, wstawkami, a szczególnie modną je t „fileuse“ — szeroka wstawka, zakończona wąziutką wenecką koronką, lub wąskim obrąbkiem również z crèpe de chine.



Koszulki nosi się...

Nocne koszulki są bardzo długie aż do kostek. Nosi się do nich crèpe de chine'owe czepeczki, ozdobione kolorowemi wstążeczkami. Monogramy na koszulkach muszą być w kolorze garnituru, zaś kształt mają zupełnie modern, ozdobione skromną winietą, lub ujęte w owal.

— No, już dobrze! panno Nelli — a.. dół... no... rozumie mie pani?

— W tej chwili, panie!

Urocze zjawisko skryło się znów za parawanikiem, a potem zjawiła się moja informatorka, trzymając w rączkach „coś“ o kształcie nieokreślonym.

— To są najmodniejsze reformy — objaśniła — powinny one być dostosowane tak w barwie, jak i rodzaju materji do koszulki. Pozatem nic szczególnego. A główny nacisk kładzie się na dobór materji!

— Co? Nic szczególnego? Ale to istne cudo! — krzyknąłem. — Przecież to wygląda jak najeteryczniejsza pianka... Ach! kobietki! jakżeż gnębić moją wrażliwą duszę! Przecież to powinno się nosić na wierzchu! Któż to widzi? To straszny egoizm ukrywać takie cuda!

— Te cuda, panie Diaz Bivar, widzą tylko wybrani...

Czarujący uśmiech... obiecujące spojrzenie... szum crèpe de chiny... bańka mydlana prysła — Nelli schowała się za parawan.

— Słodkie, śliczne stworzonko! A czy ja mógłbym być tym..

— Ach! ach! jaki pan śmieszny! Po pierwsze: obiecał pan nie zachowywać się agresywnie; po drugie jest pan reporterem; a po trzecie: ach! panie! o takie rzeczy nigdy się kobiety nie pyta!...

Długo brzmiał za parawanikiem srebrzysty śmieszek.

— No, lekcja była zasłużona — pomyślałem. — Już nigdy więcej nie będę się o takie rzeczy pytał.

— Panno Nelli! zapomnieliśmy o jednej rzeczy bardzo ważnej: o pyjamach, a przecież to takie prześliczne.

— E! panie! pyjamy nie są w tym sezonie specjalnie lansowane przez Paryż i prawie nic się nie zmieniło, krój ten sam, a tylko jedwab zdobny jest w coraz to barwniejsze desenie. Używa się je nadal, jako stroju porannego, a po za tem ogromnie rozpowszechniły się na plażach.

— Ach! cóż to za cudowny widok! — zawołałem. — Plaża musi wyglądać, jak klomb najbarwniejszych kwiatów! Białe, lśniące kabiny, nagie, boskie kobiece kształty i te cudne, jedwabne pyjamy!...

— Tak! i... setki tysięcy lornetek od strony morza. Lornetek, za któremi nie widzi się, ale



Tu zdecydowałem się na szaleństwo....





...coś, o kształcie nieokreślonym.

wyczuwa palące spojrzenia, wstrętnych, brzydkich mężczyzn.

— Moja śliczna! ależ bez tego cała plaża straciłaby dla was swój urok, ręczę, że gdyby nie lornetki, plaże damskie świeciłyby pustkami... a wstrętni, przebrzydli mężczyźni potrafią być często tak mili, rozkosz i, kochani..

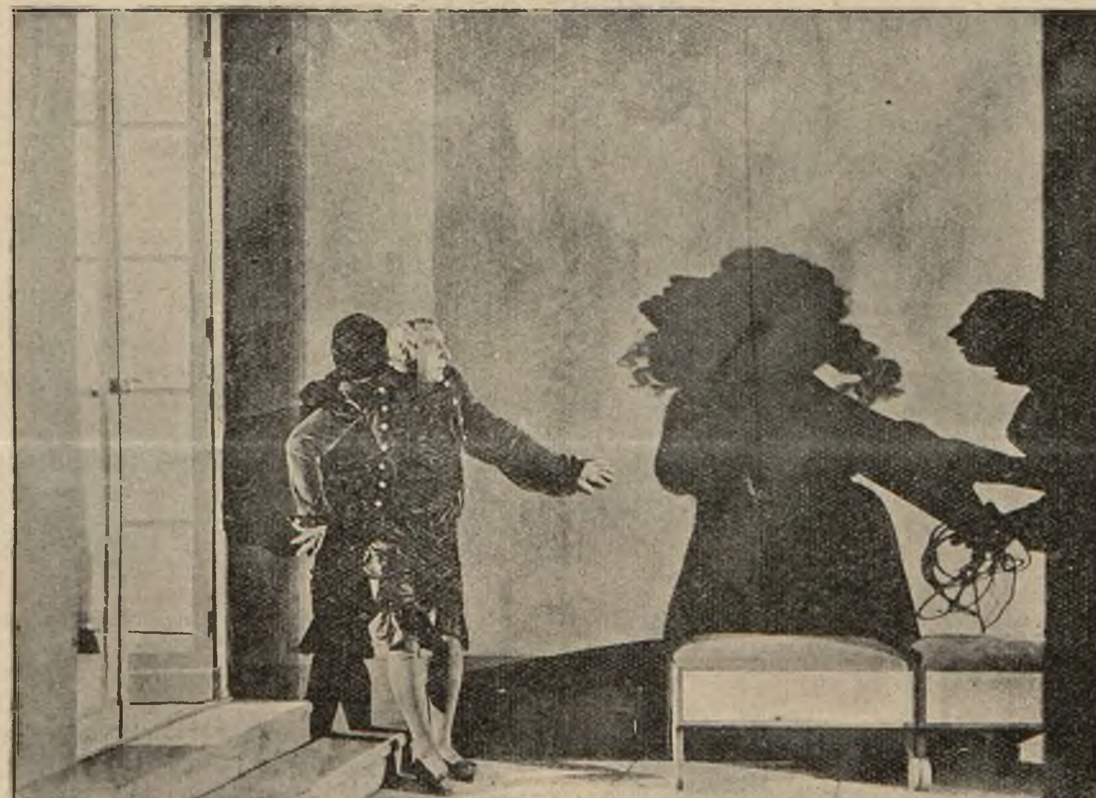
— Może...

Z za parawaniku dał się słyszeć szelest i wysunęła się biała łapka.

— Już nie mam czasu, mój panie adepcie mody, niech pan pocałuje to i już idzie. (C.d.n.)



**Konrad Veidt jako car Iwan Groźny.** Świetny artysta niemiecki Konrad Veidt, znany głównie ze swych nadzwyczajnych kreacji w Cezarze Borgji Piotrze Wielkim i Grobowcu Indyjskim występuje w nowym filmie niemieckim p. t. „Gabinet figur woskowych“ jako Car Iwan Groźny“, wzbudzając swą wspaniałą maską i charakteryzacją dreszcz grozy i podziwu.



**„Cień“.** Nowy film niemiecki pełen sensacji i grozy, a odznaczający się tem, że nie zawiera żadnych podpisów, treść bowiem tłumaczy się sama przez się w obrazach. (Atlantic).

# Klasyczny film.

Sztuka kinematograficzna, dziecko wieku elektryczności rozwija się z niebywałą szybkością, ogarniając coraz szersze horyzonty, doskonaląc inscenizację i grę.

Nie można jasno zdać sobie sprawy z całej działalności reżysera filmowego, nie znając bliżej tego czarodziejskiego kotła, jakim jest wytwórnia.

Przedewszystkiem rzuca się w oczy niebywała rozległość jego zadań — różnorodność pracy, począwszy od kierownictwa subtelnej i artystycznej gry aktorów, skończywszy zaś na najbardziej fachowych szczegółach technicznych. Reżyser dzisiejszy przedstawia się nam, jako wódz armii ogromnej, armii robotników, artystów, statystów, fotografów, inżynierów, optyków i t. d., którzy sprzęgli się w jednym celu: stworzenia świata złudy.

W raz z udoskonaleniami technicznemi i precyzją gry aktorów, znika mus stosowania w filmach środków pomocniczych i to jest przejawem, świadczącym o niebywałej żywotności tej gałęzi sztuki i znakiem, że nie wyłamuje się ona z ogólnych prawideł twórczości artystycznej. Środków pomocniczych w filmie mamy kilka, więc przedewszystkiem t. zw. „tricki“, które współczesny film, postawiony na wysokim poziomie artystycznym, usuwa. Dzisiaj wszystkie niebezpieczne i karkołomne sytuacje są *naprawdę* przeżywane przez artystów i tylko w wyjątkowych wypadkach, pozwala sobie wytwórnia na oszustwo. Natomiast „trick“, usunięty z normalnego filmu, znalazł zastosowanie w filmach specjalnych, przeważnie humorystycznych, które jednak nie starają się o utrzymanie poziomu artystycznego.

Jednym z prawie niezbędnych środków pomocniczych są również podpisy, które pragną zastąpić brak *głosu*, co kolosalnie utrudnia pojęcie tematu.

Jednak nowe wytwórnie amerykańskie i niemieckie, chcąc „oczyścić“ niejako atmosferę widowiska i tem silniej pogrążyć widza w złudzie, usunęły zupełnie podpisy z ekranu. Przez to uzyskuje się rzecz bardzo z punktu widzenia artystycznego ważną, to jest *nastrój*. Specjalnie filmy mające w sobie piętno niesamowitości, nadają się doskonale do tego eksperymentu.

W przyszłości i to zapewne niedalekiej, ujrzymy nowy wynalazek, dotychczas nie udoskonalony, t. j. film mówiący. Uzyskuje się to przez równoczesne połączenie aparatu kinematograficznego z gramofonem. Rzecz oczywista, że filmy te, żeby odpowiadały w zupełności swemu zadaniu, wymagają ogromnej drobiazgowości i precyzji w wykonaniu.



**Polskie gwiazdy filmowe zagranicą.** Preświetna artystka Pola Negri występuje w jednym z najnowszych filmów amerykańskich w roli narzeczonej, olśniewając przepychem tualet. (Atlantic)



**Osiemset metrów nad nurtami Elby** Słynny artysta filmowy, akrobata Albertini, wraz ze swoją partnerką Ewi Ewą w karkołomnej sytuacji, zawieszony o 800 metrów nad nurtami Elby. Scena rozgrywa się na urwistem zboczu górskiego łańcucha w t. zw. „Saskiej Szwajcarji“.

Możemy to ująć w pierwszą ważną formułę: film zbliża się do *poziomu klasycznego* — stwarza temat, wysnuty z możliwości technicznych, a możliwości te są dziś już niebywale szerokie.



**Polskie gwiazdy filmowe zagranicą.** Najpiękniejsza artystka włoska Stanisława Gallone jest Polką z pochodzenia. Występuje w najnowszym filmie włoskim pt. „Karnawał życia“.



**Zjazd inwalidów:** W tych dniach odbył się w Warszawie zjazd inwalidów, w którym wzięli udział delegaci związków inwalidzkich z całej Polski.



Zawalony dom czteropiętrowy w Warszawie.

## Domy walą się!

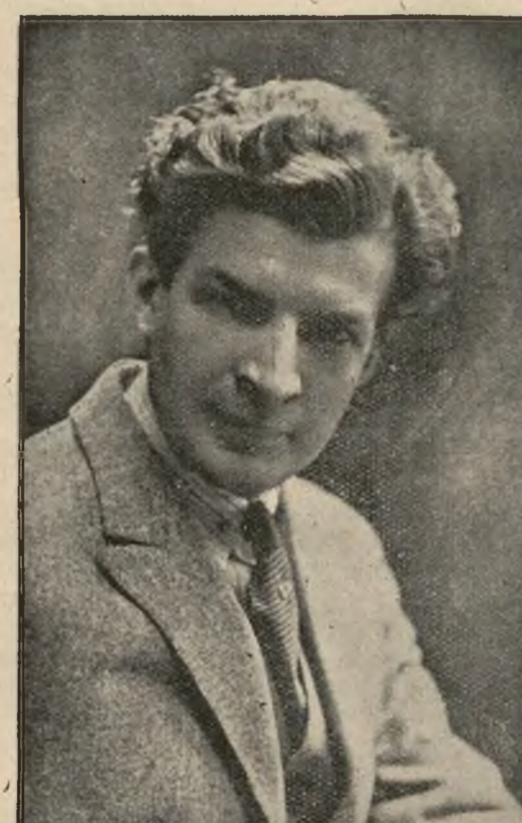
**Ze wszystkich miast Polski dochodzą coraz częstsze wieści o waleniu się mieszkalnych domów. Katastrofa wszakże, która wydarzyła się niedawno w Warszawie przewyższyła swemi rozmiarami wszystkie znane dotychczas wypadki. Oto ogromny czteropiętrowy dom runął nagle, zawalając całą ulicę kupą rumowiska i gruzu. W ostatniej chwili zdążono wyewakuować wszystkich mieszkańców, tak, że strat w ludziach na szczęście nie było.**



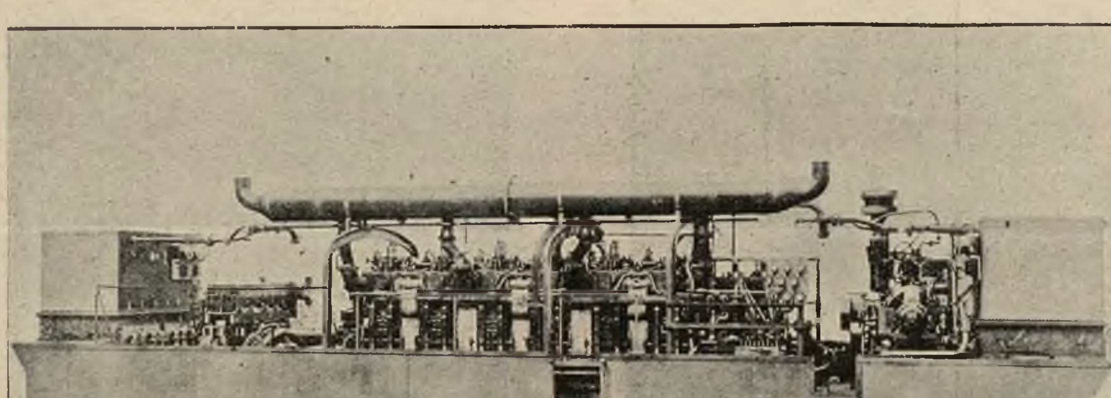
**Gościnne występy opery lwowskiej w teatrze miejskim im. Jul. Słowackiego.** Artysta opery, Stanisław Drabik zachwyca naszą publiczność świetną grą i pięknym głosem.



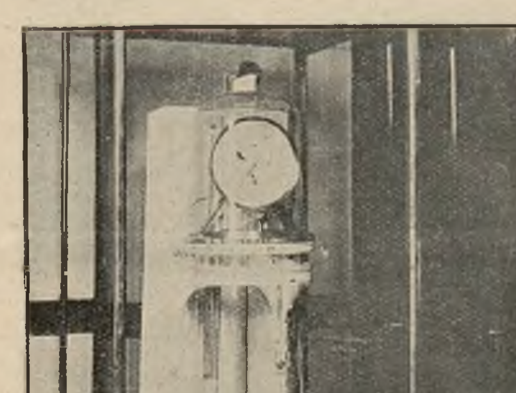
Świetny piosenkarz kabaretowy, Marjan Rentgen artysta teatru „Stańczyk" w Warszawie, który piosenkami swemi śpiewanemi przy akompanjamencie gitary, zdobył sobie popularność i stał się ulubieńcem stolicy, bawi obecnie w Krakowie na gościnnych występach w Bagateli.



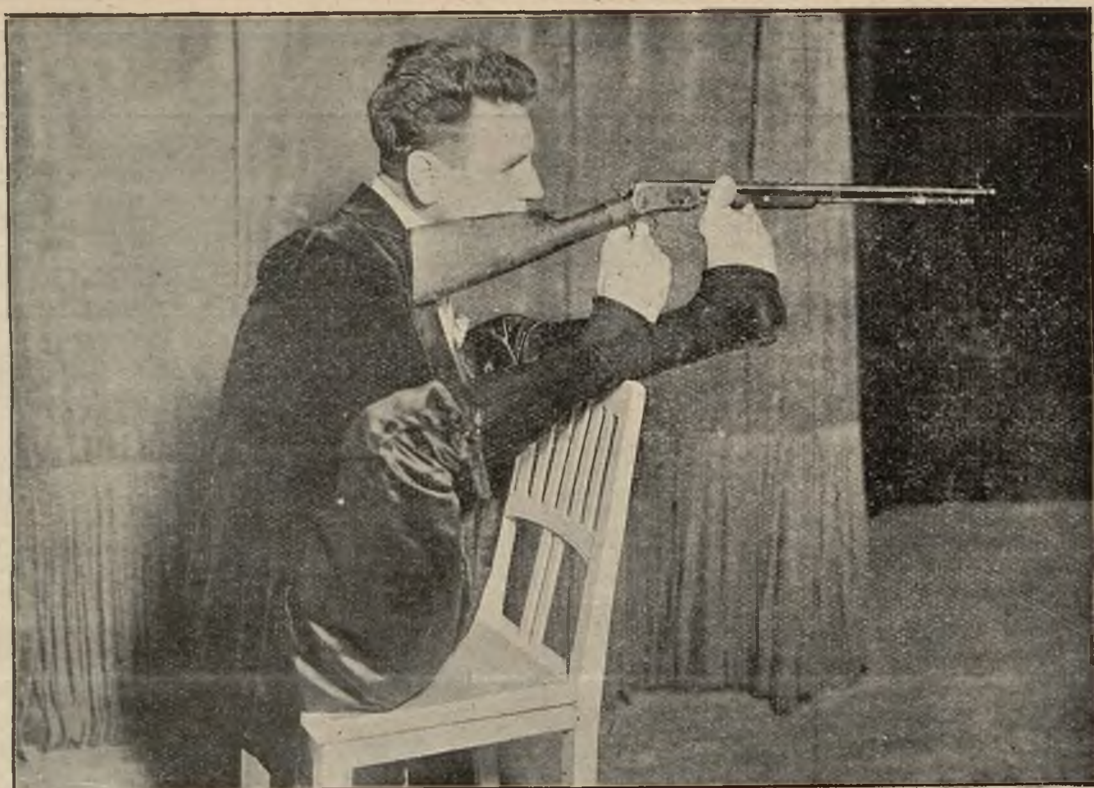
**Gościnne występy opery lwowskiej w teatrze Miejskim im. Juljusza Słowackiego.** Ulubieniec kobiet, znany artysta operowy, Zenon Dolnicki,



**Przewrót w komunikacji transportowej:** Zakłady w Esslingen w Niemczech wykonały lokomotywę nowego typu, o motorze typu automobilowego lub aeroplanowego. Zamiast kotła lokomotywa posiada silnik Diessla nie potrzebuje więc ani węgla ani wody i dlatego nadaje się do komunikacji w najtrudniejszych okolicach, jak stepy i pustynie. Lokomotywa ta wynalazku rosjanina prof. Łomonosowa, wykonana została w Niemczech na zamówienie rządu sowieckiego, wykonała już próbną podróż 2000 km. bez przerwy i w październiku ma udać się do Rosji wioząc od granicy do Petersburga i Moskwy cały pełny pociąg. (Atlantic).



**Zegar, który dyktuje godzinę całemu światu.** Niezwykle skomplikowany i precyzyjny zegar w obserwatorjum marynarki amerykańskiej w Waszyngtonie, według którego regulowane są zegary wszystkich miast Ameryki, oraz czas okrętów na pełnym morzu, do których 2 razy dziennie wysyłany jest dokładny czas za pomocą radjotelegrafu. (News Pictures.)





Znakomity „mistrz nogi“. W „zimowym ogrodzie“ w Berlinie produkuje się niezwykły akrobata Elrog, człowiek urodzony bez rąk i ramion, który nóg używa z taką łatwością, jak normalny człowiek rąk. Elrog zapomocą swych nóg świetnie strzela, daje koncerty na trąbie i t. d.



# Dział szachowy

(pod red. Tad. Konczyńskiego jun.)

Olimpijski turniej szachowy 1924.

F. Jonet (Belgja) — Mottisons (Łotwa).

| | | |
|---|---|---|
| 1) | $d_2 - d_4$ | $Sg_8 - f_6$ |
| 2) | $Sg_1 - f_3$ | $e_7 - e_6$ |
| 3) | $c_2 - c_4$ | $Gf_8 - b_4$ + |
| 4) | $Sb_2 - d_2$ | $b_7 - b_6$ |
| 5) | $a_2 - a_3$ | $Gb_4 \times d_2$ + |
| 6) | $Gc_1 \times d_2$ | $Sf_6 - e_4$ |
| 7) | $c_2 - [illegible]_3$ | 0 - 0 |
| 8) | $Gf_1 - d_3$ | $Gc_8 - b_7$ |
| 9) | 0 - 0 | $f_7 - f_5$ |
| 10) | $Dd_1 - b_3$ | $Se_4 \times d_2$ |
| 11) | $Sf_3 \times d_2$ | $Dd_8 - g_5$ |
| 12) | $g_2 - g_3$ | $Sb_8 - c_6$ |
| 13) | $f_2 - f_4$ | $Dg_5 - f_6$ |
| 14) | $Db_3 - c_2$ | $fa_8 - e_8$ |
| 15) | $Gd_3 - e_2$ | $d_7 - d_6$ |
| 16) | $Ge_2 - f_3$ | $e_6 - e_5$ |
| 17) | $Sf_3 - d_5$ + | $Kg_8 - h_8$ |
| 18) | $f_4 \times e_5$ | $d_6 \times e_5$ |
| 19) | $Gd_5 \times c_6$ | $Df_6 \times c_6$ |
| 20) | $d_4 - d_5$ | $Dc_6 - c_5$ |
| 21) | $Dc_2 - c_3$ | $c_7 - c_6$ |
| 22) | $b_2 - b_4$ | $Dc_5 - d_6$ |
| 23) | $e_3 - e_4$ | $c_6 \times d_5$ |
| 24) | $e_4 \times d_5$ | $b_6 - b_5$ |
| 25) | $We_1 - d_1$ | $b_5 \times c_4$ |
| 26) | $Sd_2 \times c_4$ | $Dd_6 - c_7$ |
| 27) | $Wf_1 - f_2$ | $We_8 - c_8$ |
| 28) | $Wf_2 - c_2$ | $Gb_7 - a_6$ |
| 29) | $Wd_1 - c_1$ | $G[illegible]_6 \times c_4$ |
| 30) | $D[illegible]_3 - [illegible]_3$ | $f_5 - f_4$ |
| 31) | $De_3 - e_4$ | $Dc_7 - b_6$ + |
| 32) | $Kg_1 - h_1$ | $Gc_4 - a_6$ |
| 33) | $De_4 \times e_5$ | $Wc_8 \times c_2$ |
| 34) | $W[illegible]_1 \times c_2$ | $f_4 \times g_3$ |
| 35) | $D[illegible]_5 \times g_3$ | $Wf_8 - f_1$ + |
| 36) | $Kh_1 - g_3$ | $Wf_1 - g_1$ + |

poddały

Olimpijski turniej szachowy który zgromadził amatorów szachistów całego świata przyniósł niespodziewane wyniki. Turniej podzielony był na 9 grup, których zwycięzcy, rozgrywali po jednej partji. Pierwsze miejsce oraz tytuł olimpijskiego mistrza szachowego zdobył Mattisons (Łotwa). Znany szachista Euve, który uchodził za pewnego zwycięzcę, zajął dopiero czwarte miejsce.

1) Mattisons (Łotwa) $5^1/_2$ p., 2) Apšeneeks (Łotwa) 5 p., 3) Colle (Belgja) $4^1/_2$ p., 4–6) Euve (Holandja), Vajs'a (Węgry), Tschepnonow (Finlandja) po 4 p., 7) Talan (Argentyna) $3^1/_2$ p., 8) Golmago (Hiszpanja) 3 p, 9) Havasi (Węgry) $2^1/_2$ p.

Polscy szachiści do grupy zwycięskiej nie weszli, w ogólnej jednak klasyfikacji osiemnastu państw, biorących udział w olimpijskim turnieju szachowym zajęli ósme miejsce. Zjazd szachistów całego świata, przyczynił się do założenia Amatorskiego Związku Szachowego, co niewątpliwie wpłynie na rozwój życia szachowego.

# Zagadki do nagrody.

**Krzyż magiczny.**

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy o podanem znaczeniu, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a
a a a
b b d d e e i
i k k k k n n
o o o o o r r
s s w
w w w

*Znaczenie wyrazów*: 1) Miasteczko w Małopolsce zachodniej, 2) Republika w Ameryce, 3) Góra pod nowym Targiem.

**Zadanie królewskie.**

| | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | | trwa | le | ba | na | | |
| | | wciąż | wy | trze | przód | | |
| me | mu | cić | zle | ba | po | iść | i |
| sa | a | bu | trze | nie | mo | cić | świe |
| | | nie | le | ne | ga | | |
| | | swój | ból | ża | próż | | |

**Depesza.**

Z liter na depeszy ułożyć znane polskie przysłowie

*„Tosiu! Nic nie wiem o A.*
*E. C.“*

**Szarada.**

Jeśli masz bracie, silne *pierwsze trzecie*
Nie zaznasz biedy na tym Bożym świecie,
Lecz zważ by *drugie trzecie* proste były
I czasem w przepaść cię nie zaprowadziły.
*Trzecia i pierwsza* potrawa lubiana
W rozmaity sposób bywa przyprawiana
Całość wszystkiego już wam nie odsłonię
Ongiś na polskim zasiadał on tronie.

**Bilety wizytowe.**

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób.

PIOTR CESART

WIT KORNY

K RUNIECKI

HENR POTYCKI

MAREK SADWICKI

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcja do rozlosowania: Powieść **Postula „Pożar na bagnisku“.**

Za rozwiązanie wszystkich zagadek przeznacza się nagrodę. Wszyscy czytelnicy stali ubiegający się o nagrodę, zechcą nadesłać rozwiązanie wszystkich szarad, zawartych w tym numerze, wraz ze swoim dokładnym adresem, potem nastąpi losowanie. Termin nadsyłania rozwiązań upływa z dniem 30 sierpnia b. r. Wynik losowania ogłoszony będzie w numerze 36.

**OD REDAKCJI**: Dział grafologiczny z powodu braku miejsca zmuszeni jesteśmy odłożyć do następnego numeru.

# OGŁOSZENIA.

**CENY OGŁOSZEŃ:**
**Przed tekstem (za tytułówką).** Cała kolumna 500 Zł pół kolumny 250 Zł. 1/4 kolumny 140 Zł. 1/8 kolumny 75 Zł. — Wiersz milimetrowy jednoszpaltowy 75 groszy.

**Część redakcyjna.**

| | | |
|---|---|---|
| Cała kolumna opisowa redakcyjna | 300 | zł. |
| 1/2 " | 150 | " |
| 1/4 " | 75 | " |
| 1/8 " | 40 | " |
| wiersz milimetrowy jednoszpaltowy | 40 | gr. |

**Za 1 cm. kliszy 15 groszy.**

**Część inseratowa.**

| | | |
|---|---|---|
| Cała kolumna | 200 | zł. |
| 1/2 " | 100 | " |
| 1/4 " | 55 | " |
| 1/8 " | 30 | " |
| wiersz milimetrowy jednoszpaltowy | 15 | gr. |

ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY i POWIĘKSZEŃ
**MARKA MÜNZA**
znajduje się **tylko** we Lwowie przy ul. Jagiellońskiej L. 15, (obok placu Smolki) żadnej filji tak we Lwowie jakoteż na prowincji nie posiada.
Wykonuje wszelkie roboty w zakres fotografji wchodzące jaknajstaranniej i jaknajpunktualniej.

**Zakład techniczno-dentystyczny**
**N. KLEINBERGERA**
**Kraków, Szewska 27 I. p. (narożnik Plant)**
**otwarty od godz. 9—1 i od 3—6.**

**FIRANKI, PORTJERY**
**KOCE NA ŁÓŻKA**
**Wielki wybór bielizny**
**damskiej, płócien, ręczników i bielizny stołowej**
poleca jaknajtaniej
**KAROL JAROSZ**
**Kraków, Floryańska 35.**

**FORTEPIANY I PIANINA „NA RATY"**
Bechstein
Blüthner
Bösendorfer
także innych firm „od najtańszych" do nabycia tylko u firmy:
Helena
**Smolarska**
Kraków, Szewska 9, I p.




ZAWIADOMIENIE
Poznaj siebie. Kim jesteś? kim być możesz? charakter, zdolności, przeznaczenie. Jeżeli ci brak energji, równowagi, jeżeli nie wiesz jak żyć, postępować, aby zwycięsko przeciwstawić się losowi, zwróć się do p Szyllera Szkolnika, znawcy dusz autora prac naukowych. Nadeślij charakter pisma swojego lub zainteresowanej osoby, napisz rok, miesiąc urodzenia, kawaler, żonaty, wdowiec, ile osób najbliższej rodziny, na tych danych otrzymasz listem poleconym naukową szczegółową analizę charakteru, określenia ważniejszych zdażeń życiowych, odpowiedzi na szczerze zadane pytania również horoskop ułożony przez słynne medjum Miss Evigny. Analizę-horoskop wysyła się po otrzymaniu 3 zł. Jeżeli wziąć pod uwagę, że wykonanie analizy wymaga poważnej umysłowej pracy, koszta ogłoszeń, pocztowe etc., wyżej oznaczona suma nie jest zbyt wysoka. Osobiście przyjmuje od 12-7 p p. Doświadczenia naukowe p. Szyllera-Szkolnika, zaszczycone chwalebnymi protokułami naukowych Towarzystw Warszawy, świadectwami najwybitniejszych powag świata lekarskiego i odezwami prasy Książki nadzwyczaj ciekawej treści naukowo-pouczającej Katalog ilustr. darmo. Na przesyłkę dołączyć znaczek pocztowy. Adres: Warszawa, Psycho-Grafolog Szyller Szkolnik Piękna 25 pok. 14 Tel. 506 09.

**KAPELUSZE damskie**
o 30% taniej jak wszędzie — sprzedaje
„ANTONINA" pracownia kapeluszy damskich
**Kraków, Floryańska 13, I. p. ofic.**
- Przyjmuje wszelkie roboty modniarskie. -

:: **Rendez vous dla przejezdnych** ::
MLECZARNIA I RESTAURACJA
E. Dobrzyńskiej obecnie B. PYTEL
Plac Wszystkich Świętych
wydaje śniadania, obiady i kolacje
Lokal z komfortem odnowiony
Rok zał. 1878 Tel. 3328

**Materjały wełniane**
**na kostjumy, płaszcze, raglany i ubrania męskie**
**Nowości w jedwabiach**
**Markizety, batysty, perkale, zefiry i szyfony.**
poleca po niskich cenach
**KAROL JAROSZ**
**Kraków, Floryańska 35 (róg ul. św. Marka).**

Futer największy wybór w doborowym gatunku po niskich cenach poleca firma:
**Antoniego Trąbki Syn**
KRAKÓW, ul. Szewska 12, Tel. 34-4.

**Naj** tańsze trwalsze lepsze **obuwie**
po cenach konkurencyjnych sprzedaje Magazyn obuwia Kraków, Mikołajska 8 w podworcu

ZAKŁAD TAPICERSKO-DEKORAC.
**PIOTRA PAŁKI**
KRAKÓW, UL. FLORJAŃSKA 26.
(wejście ul. św. Marka 19).
wykonuje wszelkie roboty w zakres ten wchodzące tak w miejscu jak i na prowincji. Na składzie stale **wielki wybór kołder.**
Ceny umiarkowane.

PRALNIA
W. BIGOSZOWEJ
wykonuje wszelką bieliznę, jakoteż bluzki, suknie, firanki, story, kapy itp.
KRAKÓW, ul. Garbarska 22.

SPRZEDAŻ SKÓR
Antoniego MARKIEWICZA
obecnie SZYMON GIBEK
W KRAKOWIE, ul św. KRZYŻA 7.
poleca: **skóry wierzchnie i podeszwowe**
w dużym wyborze, oraz narzędzia szewskie i przybory sportowe do obuwi , gumy, prawidełka, sznurowadła, pasta i t. d.

**obiady z 3 dań po 80 gr.**
**Restauracja Powszechna**
wydaje znakomite obiady. Bufet zaopatrzony obficie w zimne i gorące zakąski. - Specjalność wędliny tuchowskie
**Lokal otwarty do godziny 12-tej w nocy.**
**Kraków, ul. Karmelicka 17.**
(wchód również od ul. Garbarskiej).

**Skład papieru i galanterji**
**MICHAŁ SŁOMIANY**
**KRAKÓW, Sławkowska 24.**
Pocztówki artystyczne — Papiery listowe — Albumy i ramki na fotografje — Wyroby skórkowe — Karty do gry — Szachy, szachownice, domina — Lustra — Księgi handlowe — Wszelkie przybory szkolne i kancelaryjne.
**Wykonuje:** Bilety wizytowe, zawiadomienia ślubne i wszelkie druki.

**Ważne dla rodziców**
Wyłączny skład bielizny gotowej dla młodzieży szkolnej (panienek i chłopców)
**Skład płócien i bielizny**
Damskiej, męskiej i dziecięcej. - Dymki, drelichy, ręczniki, szyrtyngi, płótna na prześcieradła.

**Wielki wybór koronek i haftów**
**Kołdry gotowe na składzie** i na zamówienia
**M. KULINOWSKA**
**KRAKÓW, UL. SŁAWKOWSKA 13.**

Właściciel i wydawca: Czesław Lipiński. Odpowiedzialny redaktor Dr. Lipiński. Drukarnia i kliszarnia „Nowości Illustrowane" pod zarządem L. Gronusia (firma Friedlein